ROCZNIK XI. Kwiecień 1907. Nr. 4.

Wiadomości Salezjańskie

Organ Związku Pomocników Salezjańskich.

* Turyn – Via Cottolengo, 32 *

TREŚĆ: Str.

Odesłać, nie odesłać...?

Wyjaśnienie i rada.

Chodzi *o takich Czytelników, którzy robią sobie wyrzuty, że pobierają nasze pismo, a nie mogą Zgromadzenia Salezjańskiego tak wspierać, jakby chcieli. Dla księdza Bosko przejęci są uwielbieniem i podziwem, Zgromadzenie jego darzą sympatją i przychylnością, uznają potrzebę i wpływy zakładów wychowawczych. Każda odezwa umieszczona we* Wiadomościach *lub inną drogą nadesłana, wzrusza ich głęboko. Chcieliby łożyć jak najwięcej na dobry cel, ale cóż, kiedy sami biedni, samiby potrzebowali pomocy? I żal im się robi i pytają się, czy nie lepiej będzie wcale* Wiadomości *nie pobierać. A wtem nadchodzi nowy zeszyt, czytają go uważnie, niepokój rośnie, rośnie niepewność: nie wiedzą czy odesłać, czy nie odesłać.*

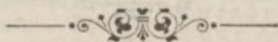
Jeszcze raz przypominamy, że Wiadomości Salezjańskie *wysyłamy* darmo *wszystkim naszym Zacnym Pomocnikom i Dobrodziejom. Chociaż z wdzięcznością przyjmujemy pieniądze na pokrycie kosztów wydawnictwa (rocznie 4 korony = 4 marki = 2 ruble), to jednak żadnych rachunków administracyjnych nie prowadzimy.*

Wiadomości Salezjańskie *to jedyny kwestarz naszych biednych zakładów. Kwestarz wdzięczny jest tak temu, co go ugości i na noc przygarnie, jak i temu, który dla jego osoby nic nie robi, ale mu wręcza ofiarę na klasztor. Podobnie i my pochwalamy delikatność tych naszych Czytelników, którzy pamiętają o wydatkach naszego wydawnictwa, a niemniej z wdzięcznością i uznaniem podnosimy gorliwość tych, którzy zakłady bezpośrednio wspierają.*

A teraz słóweczko do tych, którzy na żadną ofiarę zdobyć się nie mogą. Powinni się przedewszystkiem otrząsnąć z niepokoju, pobierać nadal Wiadomości, *czytać je, rozpowszechniać; powinni Zgromadzeniu służyć życzliwością, modlić się o jego wzrost, o nowe siły zakonne, o nowe zastępy Pomocników. Taka pomoc moralna i duchowa biednego Czytelnika bynajmniej nie jest mniej warta, niż hojna ofiara zamożnego.*

Na pytanie zatem: odesłać, nie odesłać? — *taka jest nasza odpowiedź:* **nie odsyłać**, *ale* **czytać i rozszerzać**.

SŁOWA NA CZASIE[1]



Z Chrystusem przyszło miłosierdzie na ziemię, z Jego serca spłynęło do miljonów serc innych i stało się jedną z wybitnych cnót świata chrześcijańskiego. Miłość chrześcijańska wydawała zawsze najpiękniejsze owoce przez miłosierdzie. Całe księgi trzebaby napisać, chcąc dać wyobrażenie o tem, jak wielce miłosierdzie chrześcijańskie przyczyniało się w ciągu wieków do ulżenia cierpień ludzkości, do usunięcia biedy i nędzy ze świata. Nigdy też ubogim nie było znośniej na tym świecie, jak za czasów żywej wiary, kiedy czczono w nich cierpiące członki Chrystusowe, a że i dziś miłosierdzie chrześcijańskie najlepiej umie goić rany cierpiących, dowodzi tego choćby ta okoliczność, że nawet najwięksi wrogowie Kościoła zawsze z uznaniem wyrażać się muszą o zakonach i zgromadzeniach, których członkowie oddają się na usługi biednych chorych.

Są dzisiaj ludzie, którzy kłamliwie głoszą, iż miłosierdzie w kwestji społecznej na nic się przydać może a nawet całkiem jest szkodliwe; którzy otwarcie i głośno zohydzają wszystkie dzieła dobroczynne, bo wiedzą, że miłosierdzie podbija serca ludzkie, wlewając w nie balsam pociech, a oni chcieliby siać tylko nienawiść, aby jak najprędzej jawnym wybuchła płomieniem. Domagają się oni tylko sprawiedliwości dla ludu, twierdząc, że miłosierdzie i jałmużnę ma się usunąć ze świata, jako ubliżające prawu równości ludzi między sobą i poniżające godność człowieka. Ci, co głoszą takie zdania, zatracili już zupełnie pojęcie chrześcijańskiego miłosierdzia, które przejęte duchem Chrystusowej wiary, łączy w sobie najserdeczniejszą miłość z najsurowszą sprawiedliwością.

W dobroczynności chrześcijańskiej tętni miłość i goreje uczucie ludzkie, bo wiara nas uczy, żeśmy braćmi między sobą i dziećmi jednego Ojca, który jest w niebiesiech i przykazuje, abyśmy się społecznie miłowali, a nasza święta religja żąda, aby dający widział w biedaku samego Jezusa Chrystusa, który w ubogich żebrze, żeby zimny rozgrzał się ciepłem miłości Boga i bliźniego, żeby, jak chce prorok, ten, co daje, *wylał swą duszę w zgłodniałą duszę ubogiego*, *bo tylko wtedy sprawiedliwość jego jaśnieć będzie jako jutrzenka.*

Tymto duchem wiary i miłości, miłosierdzie nasze różni się od tak zwanej nowoczesnej filantropji, co bawi się wesoło, by tak zarobionym groszem otrzeć łzę z oka nędzarza, a która niestety już i do nas się wkrada, by zastąpić gasnącą miłość chrześcijańską. Ten duch miłości jest tajemniczą siłą, która sprawia, że prawdziwe miłosierdzie chrześcijańskie po wszystkie czasy serca i umysły nawet najbardziej harde sobie podbijało, — nie potrzebuje się też wstydzić ten, co z niego korzysta, bo miłosierdzie to czyn miłości braterskiej, a miłość nikomu nie ubliża.

Ale w miłosierdziu chrześcijańskiem jest też najściślejsza sprawiedliwość. W kościele Chrystusowym inny panuje porządek, niż w świecie. Tam bogaci są zawsze pierwsi, panują i rządzą; natomiast w Kościele pierwsi, uprzywilejowani i *błogosławieni* są ubodzy, bo *ich jest królestwo niebieskie.* Oni posiedli obfitość wszelkich błogosławieństw, bogaci więc tylko przez nich mogą tej obfitości stać się uczestnikami i błogo-

(1) Z listu pasterskiego J. E. Ks. Kard. Puzyny.

sławieństw dostąpić, pod warunkiem, że szanują ubogich jako pierwszych, służą im jako uprzywilejowanym, udzielają im z obfitości swoich dostatków. To też najwyższy zaszczyt bogatego w Kościele stanowi miłosierdzie; ono tylko uszlachetnia i usprawiedliwia jego bogactwo; niemasz dla niego innej drogi do nieba, jeno przez miłosierdzie dla ubogich; niemasz innego sposobu na okup grzechów, jeno *grzechy swoje jałmużnami odkupywać.*

Takie jest pojmowanie chrześcijańskiego miłosierdzia, z czego płynąć musi cześć i poszanowanie dla ubóstwa, będące zawsze cechą prawdziwych chrześcijan. Dlatego to św. Wawrzyniec, zapytany przez prefekta Rzymu, gdzieby miał ukryte swe skarby, wskazał ręką na ubogich, zebranych koło niego, wołając: „oto są skarby Kościoła"; dlatego w wiekach żywej wiary nazywano ubogich *naszymi panami*, a święci swoją cześć dla nich posuwali do tego stopnia, że przykładali usta swoje do ropiących się ran nędzarzy i jad z nich wysysali; dlatego i dzisiaj jeszcze pobożny lud wiejski, dając jałmużnę ubogiemu u wrót kościoła, nachyla się do biednego, szepce mu coś do ucha, prosi go o modlitwę. Ma się wtedy wrażenie, że raczej ubogi jest wielkim panem, od którego dający chce przez małą jałmużnę wyżebrać cenne dary.

Słusznie też św. Jan Chryzostom, wykazując społeczne znaczenie i wpływ miłosierdzia, przyrównuje je do oliwy. Jako bowiem oliwa służy do światła, tak miłosierdzie świeci wśród kłamstw, oszczerstw i podburzania, które sieją zamęt społeczny; a jako oliwa goi rany i członki wzmacnia, tak miłosierdzie chrześcijańskie dodaje mocy zwątpiałym, goi rany społecznej waśni i niezgody, a wreszcie jest najlepszą tarczą i najsilniejszym puklerzem przeciwko oszczerstwom, które miotają potwarcy złej wiary na możnych i posiadających.

Ach! Jakże poranione są członki naszego społeczeństwa i jakże osłabłe; ileż im więc potrzeba chrześcijańskiego miłosierdzia, które oby odżyć w nas chciało!

Niech każdy, zwłaszcza z ludzi bogatszych, ma oczy otwarte na nędzę bliźnich, niech się nie lęka jak najbliżej zetknąć się z biedą, jak najlepiej poznać jej ogrom straszliwy, a na ten widok nauczy się mieć litość nad głodnymi, nauczy się cenić ten grosz ciężko przez lud zapracowany i będzie umiał rozważyć, ile chleba możnaby kupić głodnym za ten pieniądz trwoniony marnie, lub wywożony za granicę.

O wzgardzone skarby.

SŁABOŚCIĄ moją jest książka, ale nie każda. Złożona na pułkach księgarskich, wydaje mi się czemś obojętnem, zimnem, martwem. Książka dopiero wtedy przemawia do mnie, gdy ją znajduję w biblioteczce u kolegi, na stole u proboszcza, w szafie redakcji. Nie boję się pyłu, który ją pokrywa. Grube, ciemne kartki dawnych foljałów budzą we mnie szacunek. Gdy przyjeżdżam do przyjaciela, po przywitaniu strzelam oczyma ku księgozbiorowi i cierpię, gdy wymogi grzeczności nie pozwalają mi się zaraz ku niemu zbliżyć, ocenić jego stanu i wartości.

Los tych książek leży mi na sercu: ich dola jest mojem szczęściem, niedola katuszą. Przychodzę raz do starszego znajomego i z przerażeniem spostrzegam, że jego biblioteczka, wcale bogata i ładna, znikła ze swego miejsca.

— Gdzie macie książki?

— Kazałem je wynieść.

— Gdzie?

— Na strych.

— Co, na strych? — A poco?

— Widzicie, żem stary. Nie z takim wzrokiem brać się człowiekowi do czytania.

— Cóż to szkodziło? Mogły tu pozostać.

— Służący, ile razy kurz zmiatał, zawsze mówił, że są stare, czarne, że szpecą.

Jakże można było wobec tego nie pójść na strych? Poszedłem, a raczej poleciałem — i aż mi włosy stanęły na głowie. W śmieciach, wśród starych papierów i szmat leżała bezładna kupa cennych książek: skarb wzgardzony, skazany na zniszczenie.

Atoli gorsze się wypadki trafiają, gdy właściciel umiera *ab intestato* albo przekazuje biblioteczkę ludziom, którzy się nie znają na jej wartości. Idą wówczas rzadkie dzieła, nieraz białe kruki, na sromotną centową sprzedaż. Drogie zabytki, prawdziwe pomniki historyczne, dostają się nieraz do sklepów jako papier do opakowania. Rękopisy, pamiętniki, kroniki marnują się po kątach i giną. Tą drogą dostają się nawet do rąk dzieci i ludzi niepowołanych książki, których należało strzedz jak najpilniej. Jaka to szkoda! Jaka nieostrożność!

A jednak jak łatwo możnaby temu zaradzić! Gdy książki stały się niepotrzebne, gdy niewiadomo, co z niemi zrobić, — cóż to kosztuje zbić skrzynię, zapakować je i wysłać do *Biblioteki Zakładu salezjańskiego w Oświęcimiu?* Piętrzą się tam olbrzymie, zaszklone szafy, z których wyglądają w różnokolorowych strojach twory ducha ludzkiego. Tam już z niejednej plebanji powędrowały książki, z niejednej prywatnej biblioteczki nadeszły grube tomy; tam i nadal zbierać się mogą rozbitki księgozbiorów. Miejsca dosyć, opieka najtroskliwsza, użyteczność dzieł na zawsze uratowana.

Zasięgnąłem też co do tego zdania ks. bibliotekarza:

— Pozwolicie poruszyć tę sprawę w jakiem czasopiśmie?

— I owszem; bardzo proszę.

— A jak wam miejsca zabraknie?

— Niepodobieństwo! Długo potrwa, nim się szafy zapełnią. W razie potrzeby wstawimy nowe. Ostatecznie możemy salę rozszerzyć do wielkich rozmiarów, bo tylko cienkie, prowizoryczne ścianki oddzielają nas od przyległych pokojów.

— Czy wartość książek będzie tu należycie zabezpieczona?

— Nie tylko zabezpieczona, ale wykorzystana.

— Jest wielu amatorów?

— Bardzo wielu! Ciągle mnię nudzą.

— A młodzież dużo czyta?

— Najwięcej. Ona nie czyta, lecz pochłania. Z nią też mam największą biedę, bo rozporządzam bardzo ograniczoną ilością dzieł zastosowanych do jej potrzeb i pojęcia.

— Więc nie macie nic przeciw temu, abym się w tej sprawie zwrócił do szerszej publiczności?

— Owszem będę Wam wdzięczny za pośrednictwo a publiczności za książki.

Rozeszliśmy się. Ksiądz bibliotekarz wybierał z szaf książki dla chłopców, których się spora gromada przy drzwiach zebrała, a ja, zajechawszy do domu, pod wrażeniem wyniesionem z biblioteki oświęcimskiej zacząłem pisać: *O wzgardzone skarby.*

Czy może daremnie? Chyba że nie...

PRASA.(1)

WIELKI organizator katolickiego ruchu robotniczego w Niemczech, ks. biskup Ketteler, wypowiedział raz to zdanie: *Gdyby św. Paweł wrócił na ziemię, stałby się dziennikarzem.* Nie mniej znaczące są słowa pewnego pisarza hiszpańskiego: *Gdyby się czart mógł wcielić w sposób odpowiadający jego bezbożności i nienawiści do Boga i rodzaju ludzkiego, przybrałby posta złego dziennika.*

W samej rzeczy prasa stała się obosiecznym orężem dobrego i złego. Przez nią bezbożność dokonała swych postępów, siejąc błędy w książkach, dziennikach, w grubych tomach i broszurkach, w przeglądach i ulotnych pisemkach. Nie inaczej powinni się brać do dzieła katolicy, przerażeni dziś spustoszeniem, jakie wezbrany potok złej prasy w Kościele i społeczeństwie wyrządził.

Czytelnicy nasi powinni tu pamiętać przykłady naszego Ojca, ks. Jana Bosko. Nim w artykule 3cim rodziału IVtego *Ustaw* zaznaczył, że Pomocnicy Salezjańscy *mają przeciwstawiać prasie bezbożnej prasę dobrą, za pomocą rozszerzania dobrych książek, pisemek i druków różnego rodzaju, rozpowszechniając je w tych miejscach i w tych rodzinach, gdzie to uznają za stosowne,* — sam natężając do ostateczności swe siły nadwątlone nadmiernymi trudami, dowiódł, że pomimo wszelkich zajęć kapłańskich i wychowawczych, można być pisarzem, redaktorem i wydawcą. Kosztem nocnego spoczynku pisał broszurki i tomowe dzieła, ogłaszał pisma naukowe, polemiczne, apologetyczne, układał książki szkolne i budujące czytanki, a miał styl tak przystępny i piękny, pióro tak ostre i przekonywujące, że stał się postrachem przeciwników, którzy go wszelkim sposobem chcieli przywieść do milczenia, nie żałując na ten cel sum ogromnych, nie cofając się przed skrytobójczymi zamachami na jego życie. Ale daremne były to wysiłki, bo świadom wrażenia i poczytności swych prac, ks. Bosko nie uląkł się pogróżek, pisał dalej, pisał jeszcze więcej, pisał o wszystkiem, co należało objaśniać i ratować, odbitki swych sześćdziesięciu kilku dzieł rozrzucał tysiącami pomiędzy ludem i w najtrudniejszych warunkach zakładał drukarnie, z których wyszły miliony dobrych książek.

Z biegiem lat znaczenie prasy wzmagało się uporczywie, a dziś doszło do takich rozmiarów, że stało się nieodzowną koniecznością zająć wobec niej stanowisko zgodne z naszemi zasadami i nauką wiary. W dwóch kierunkach trzeba

(1) Notatka do artykułu 3. rozd. IV *Ustaw Pomocników Salezjańskich,* Turyn 1905, str. 44.

nam działać: zaczepnie względem przeciwników, solidarnie z naszymi.

Najprzód wypowiedzmy zażartą wojnę pismom antyreligijnym i pornograficznym. Ze wstrętem należy odpychać od siebie złą gazetę, złą książkę; bez litości wyrzucać ją z czytelni, z domu; ze surowością wydzierać ją z rąk dzieci i podwładnych. Zła prasa nie powinna doznawać najmniejszego poparcia w obozie katolickim. Niejedno piśmidło dziś silne i zuchwałe, popadłoby w suchorlawość i przestałoby wychodzić, gdybyśmy się wystrzegali tego słabostkowego pobłażania, tego fałszywego wyrozumienia dla złej prasy, które cechuje tylu chwiejnych i małodusznych katolików. Dopóki z całą surowością nie wystąpimy przeciw temu, co otwarcie i głośno, albo umiarkowanie ale podstępnie i systematycznie godzi w samo serce katolicyzmu, dopóty prawdą będzie, że sami przykładamy rękę do wielkiego dzieła zniszczenia, ku zadowoleniu naszych wrogów, którzy wesoło zacierają ręce, żyjąc z naszych względów i słabości.

Tak winniśmy postępować z wrogami. Względem prasy katolickiej obowiązki są bardzo proste i jasne. W każdym domu ma być nietylko dobra książka, ale powinien się znajdować także jaki dobry dziennik, jakaś dobra gazetka, przynajmniej nasze *Wiadomości Salezjańskie.* Ogromne pole pracy otwiera się tu przed duchowieństwem i światłymi katolikami, którzy szerzyć powinni znajomość dobrej prasy, zachęcać lud do czytania, przestrzegać przed trucizną. Lecz i dla bogatych powstało nowe zadanie, nieznane w dawnych wiekach: zakupywać dobre książki, rozdawać je ludowi, zakładać i pomnażać czytelnie i wypożyczalnie, wspierać dobre gazety, zamawiać je biednym robotnikom i wieśniakom. Jak u bram konwentów biedni i żebracy otrzymują zupę, tak u bram kościołów, w szkołach, na katechizacjach, na zebraniach, we warsztatach, szpitalach, wszędzie powinno się ludowi wręczać dobre pismo lub książkę. Takie dziś czasy. Kto je rozumie, wie, jaką dzisiaj potęgą dziennik i książka. Szkoda, że tylu z nas zasklepia się w przestarzałych pojęciach.

Wrogowie natomiast się cieszą, bo wiedzą, że zdobywszy prasę, znajdą drogę do ludu.



Z działalności misyjnej Ks. St. Cynalewskiego. *Chrzest ośmioletniego Indjanina w Pampasach.*

Z MISJI NASZEGO RODAKA
w Patagońskich Pampasach.

(Sprawozdanie Ks. Stanisława Cynalewskiego).

(Ciąg dalszy).

Pierwsza wycieczka.



JAKKOLWIEK przykrości podróży stepowej dotkliwie dawały nam się we znaki, to jednak posuwaliśmy się naprzód bez wypadku, zatrzymując się od czasu do czasu w siedzibach *gauciów* w celu udzielania Sakramentów świętych. Wogóle zauważyłem, że

ludność nie tylko nie okazuje niechęci kapłanowi, ale owszem z uszanowaniem słucha katechizacji i słowa Bożego, a niektórzy z budującą pobożnością i głębokiem przejęciem się prawdami wiary słuchają mszy św. i przystępują do św. Sakramentów. Praca była wskutek tego przyjemna, choć się tak przewlokła, że dopiero po dwóch miesiącach dotarliśmy do właściwego celu wycieczki, do *Sierra de Lihuê-Calel.*

Jest to pasmo skalistych pagórków, mniej więcej 5 klm. długie a 1 klm. szerokie. Sterczy ponad stepową płaszczyzną Pampasów jak urwista wyspa wśród morza. Najwyższe wzniesienie dochodzi do 200 metrów ponad płaszczyzną stepu. Od dwóch tygodni patrzeliśmy, jak na widnokręgu *Sierra* coraz to wyraźniej się zarysowywała, jak rosła z dnia na dzień, jak nas swoimi dzikimi i kapryśnymi kształtami nęciła i wyrywała z nużącego wrażenia, jakie na podróżnym sprawiać musi step bezbrzeżny, jednostajny, suchy, spalony.

Stanęliśmy wreszcie pod ciemną skałą, która niemal prostopadle wyrasta z powierzchni stepowej. Po tylu tygodniach żaru słonecznego, po raz pierwszy usiadłem spokojnie w chłodnym cieniu i wsparłem się o twardy kamień. Obfitość słodkiej wody, lepsze pastwiska dla koni i spotkanie kilku Indjan skłoniło mnie do dłuższego pobytu na tej skalistej oazie.

W Pampasach trudno o dobrą wodę do picia. Wogóle wszystkie wody na powierzchni ziemi są tu przesycone saletrą i potasem. Towarzysz mój i konie byli przywykli do takiego preparatu, ale mój żołądek po każdem piciu głośno przeciw temu protestował i demonstrował. Cały mój ustrój fizyczny, już poprzednio osłabiony, odczuwał silnie wszystkie niedomagania tej dwumiesięcznej podróży i groził awanturą. Postanowiłem więc odbyć w tem miejscu kilkudniową kurację zapomocą słodkiej wody i wzmocnić swe siły przed pracą, która mnie czekała wśród szczepu zamieszkującego tę okolicę.

Tymczasem chciałem zasięgnąć wiadomości o miejscu ich pobytu i wysłać jednego ze spotkanych tutaj Indjan na zwiady. Przyjął moją propozycję, lecz pod warunkiem, że za wynagrodzenie otrzyma wszystko to, co tylko stanowiło dla niego nowość, a więc wędzidła, strzemiona, nóż i t. p., a nawet zażądał mego zegarka, chociaż nie miał pojęcia o jego usłudze i znaczeniu. Robiłem mu różne uwagi, wchodziłem z nim w układy, obiecując zadowolić go, gdy będzie z powrotem, lecz napróżno; on chciał natychmiast nie tylko być właścicielem tych przedmiotów, ale zabrać je nawet zaraz ze sobą, co mi naturalnie bardzo podpadło. Niedowierzałem. Wszelako konieczność nagliła wysłać kogo, inaczej byłbym się musiał wyrzec kuracji i słodkiej wody i byłbym zmuszony sam z przewodnikiem, kto wie jak długo, szukać szczepu.

Korzystając z chwilowej nieobecności Indjan, przetrząsnąłem wszystkie tłumoczki, szukając przedmiotu, któryby mi nie był tak bardzo potrzebny, a którymbym mógł Indjanina sobie pozyskać.

Gdy powrócili, ofiarowałem im najprzód jedno z lepszych, jakkolwiek zużytych, ubrań, których wziąłem ze sobą pewien zapas tak dla mężczyzn, jak dla kobiet, ażeby przynajmniej podczas mojego pobytu było czem nagość ich okryć. Wszyscy, a było ich czworo, chciwie rzucili oczyma na pokazane im ubrania i podczas gdy jednemu z nich wkładałem bluzę, ażeby go nią zachwycić i nakłonić do podróży, drudzy, widząc zgrabną postawę towarzysza w bluzie, przyskoczyli do spodni, aby je sobie przywłaszczyć. Jeden porwał je i obawiając się, aby mu ich który z towarzyszy nie odebrał, w pewnem oddaleniu zaczął je przymierzać i przekonany, że to taka sama część ubrania, co bluza, wepchał ręce w nogawice, lecz nie mógł w żaden sposób ubrania tak na piersiach ułożyć, jak towarzysz w bluzie. Chciał się atoli jako tako zareprezentować, lecz mu się to nie udawało, bo ilekroć próbował ze spuszczonemi rękami wyprostować się, tylekroć spodnie spadywały mu z ramion na ziemię.

Powtórzył kilka razy całą manipulację, lecz zawsze z tym samym rezultatem. W końcu zniecierpliwiony kopnął spodnie, podeptał je gniewliwie i zostawił na ziemi. Odzyskawszy tak spodnie, które już uważałem za stracone, dałem je temu, który już miał na sobie bluzę i pokazałem, jak się ma do nich brać. Ubrany Indjanin spoglądał na siebie z prawdziwem upodobaniem, a towarzysze nie mogli powstrzymać wybuchu zdziwienia i zazdrości.

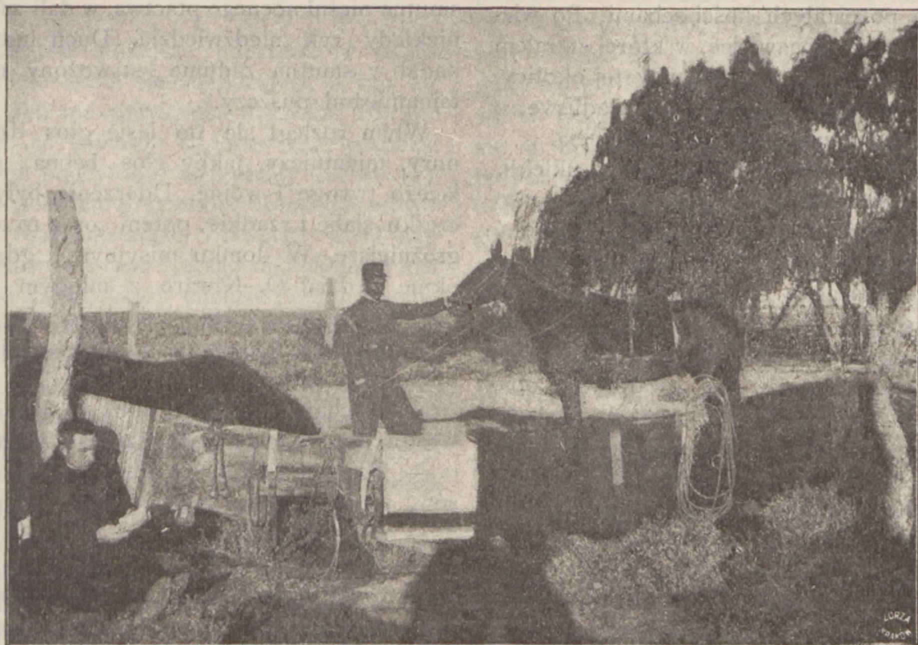
Korzystając z tego nastroju, powiedziałem: „To wszystko podaruję temu, który mi odszuka szczep kacyka Tripaylao.“ Teraz już wszyscy chcieli pojechać. Wybrałem jednak tego, do którego czułem największe zaufanie, zaopatrzyłem go w kilka większych medalików i krzyżyków, aby świadczyły o jego poselstwie i ażeby

w mojem imieniu złożył je w podarku kacykowi. W razie zgodzenia się kacyka na moje przybycie, nie miał się spieszyć z powrotem, ale miał poprosić *Tripaylao*, ażeby kazał uzbierać stos suchej trawy stepowej i podpalić go w nocy na oznaczenie miejsca swego pobytu oraz zezwolenie na mój przyjazd. Indjanin przed wyjazdem wdrapał się na jedną z wyższych skał, rozpatrywał się pilnie dokoła, wreszcie zszedł, niebardzo zadowolony, obejrzał czy *laso* i *bolcadora* (dwa nieodstępne przybory każdego Indjanina) są dobrze do siodła przywiązane, wsiadł na koń, zamyślił się, rzucił raz jeszcze badawcze spojrzenie po obszernym widnokręgu i cwałem puścił się ku północnemu zachodowi.

Mój przewodnik i pozostali Indjanie z posępnem jak zwykle obliczem siedzieli wokoło rozpalonego ogniska i z niecierpliwością spoglądali na syczące na ogniu kawały strusia, skrapiając je od czasu do czasu słoną wodą dla nadania pieczeni lepszego smaku. Ja zaś z wielką biedą wdrapałem się na skałę, aby badać step i kierunek jazdy Indjanina. Jeżeli z równiny oko ogarnia obszerną przestrzeń, to ze szczytu tego skalistego wzgórza wzrok obejmował horyzont bajecznie szeroki. Spostrzegłem, jak w dali wysłany jeździec raźno posuwał się naprzód, niknąc chwilami poza samotną krzewiną lub poza kępami stepowej trawy.

Chcąc się przekonać, czy mój posłaniec z tego miejsca naprawdę spostrzegł jakie ślady pobytu Indjan w kierunku, w którym podążył, przyłożyłem lornetkę do oczu. Lecz jakież było moje zdziwienie, kiedy spoglądając w stronę posłańca, nie tylko go nie widziałem, ale dalsza przestrzeń przedstawiała mi się jakoby mglistą zasłonięta powłoką. Przekonałem się, że niewiele mogę się spodziewać po mojej lornetce, której soczewki działały na zbyt krótką odległość. Dopiero wtedy przyznałem słuszność optykowi w Buenos Aires, który mnie zapewniał, że lornetka ta doskonale oddaje przedmioty w odległości 50-100 metrów, ale w stepie nie jest do użycia. Radził mi nie wydawać na nią 40 fr., lecz podał mi drugą za 250 fr., zastosowaną podobno do dalekich obserwacji. Myślałem, że to spekulacja i nabyłem tę, której cena była przystępniejsza. Był to błąd i, jak się pokazało, niepotrzebny wydatek.

Patrzałem jeszcze czas jakiś gołem okiem za odjeżdżającym posłańcem, który coraz to



Z działalności misyjnej Ks. St. Cynalewskiego.

W podróży po ulewie — suszenie poszczególnych części siodła, stanowiących zarazem pościel nocną.

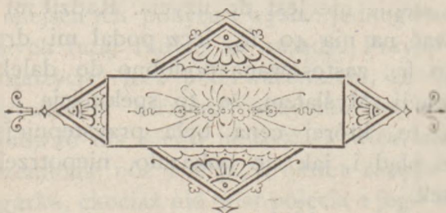
więcej malał, aż wreszcie stracił kształty jeźdźca i posuwał się dalej w maleńkiej postaci nieokreślonego punktu ruchomego.

Już mrok wieczorny zapadał, gdy ze stromej skały spuszczałem się ku ognisku, gdzie spodziewałem się zastać gotową wieczerzę. W rzeczywistości nie tylko była gotową, ale już prawie spożytą przez moich towarzyszy, nieznających żadnych reguł grzeczności i żadnych względów. Jakkolwiek apetyt mój był w owej chwili zaostrzony, nie okazałem jednak żadnego niezadowolenia, lecz z wesołą miną zabrałem się do czyszczenia pozostałych kości zębami. Po wieczerzy i krótkiej pogawędce, w której starałem się poznać sposób życia Indjan w tej okolicy, zaprosiłem moich towarzyszy na modlitwę, o której naturalnie nie mieli wcale pojęcia.

Wezwałem ich, ażeby razem ze mną uklękli, lecz ani mi na myśl nie przyszło, żeby im to tak wielką trudność sprawić mogło. Pomimo że dla przykładu sam kilkakrotnie przed nimi klękałem i zwracałem im uwagę na układ nóg podczas klęczenia, to jednakowoż przekonałem się, że jak na razie daremne były moje nauki i demonstracje. Zginali tak gwałtownie obie nogi, że padali całym ciężarem na kolana, poczem natychmiast, według swego zwyczaju, siadali wygodnie na ziemi. Późna już godzina, zmrok i znużenie nie pozwoliły mi tą razą odbyć dłuższego kursu gimnastycznego i musiałem stojąco z nimi się przeżegnać i zwolna, słowo za słowem zmówić: *Ojcze nasz, Zdrowaś* i *Wierzę*. Powtarzali za mną wyrazy modlitwy niedokładnie i niezrozumiale, ale z pewnem namaszczeniem i powagą. Uległość i zachowanie się ich zrobiło na mnie jak najlepsze wrażenie.

Rozstaliśmy się późną nocą. Indjanie odeszli do swoich kryjówek wśród skał, a ja podniecíwszy ogień nazbieranym chróstem, położyłem się do snu pod gołem niebem, obok ściany skalistej *Sierry*.

(*C. d. n.*)



Z DZIEJÓW MISJI

wśród ekwatorskich Kiwarosów.

(Ciąg dalszy).

Uczta.

Ziemię otuliła noc pogodna. Całe niebo pokryło się gwiazdami rzucającemi drżące światełko na cienie blizkich drzew i na długie, czarne plamy lasów. Ozwał się splątany i nieregularny koncert tysięcy owadów, zabrzmiały smutne pieśni nocnego ptactwa, w dali zagrzmiał niekiedy ryk niedźwiedzia. Duch ludzki popadał w smutną zadumę, strwożony nocnemi tajemnicami puszczy.

Wtem rozległ się po lesie głos dziki, ponury, tajemniczy, jakby głos bębna, zwiastującego trwogę i wojnę. Uderzenia były z początku słabe i rzadkie, potem coraz to częstsze, groźniejsze. W domku misyjnym, gdzie przy oknie siedział O. Kiwaro z młodym Indjaninem *Katipi*, wpatrując i wsłuchując się w czary i poezję nocy podzwrotnikowej, nawiązała się taka rozmowa:

— Słuchajno, *Katipi*. Jakiż to dźwięk złowrogi, pogrzebowy dochodzi nas z lasu?

— To głos *tundúj*, świętego bębna Kiwarosów, w który tylko ojcu rodziny bić wolno.

— Do wojny wzywa?

— Wzywa do wojny, ale także co innego zwiastować może. Zaraz... — i nakazawszy kapłanowi ręką milczenie, z zapartym tchem łowił uchem groźne dźwięki a w końcu rzekł:

— To nie wojenna pobudka, ale wezwanie do przyjaciół, aby się zeszli na ucztę wydaną z okazji leczenia chorego.

— Skąd to wezwanie?

— Zdaje się z blizka. Niewątpliwie z domu *Nantipy*.

— A więc poprowadzisz mnie.

— Gdzie?

— Do *Nantipy*.

— Na ucztę?

— Nie, chciałbym widzieć obchód.

— Noc ciemna. Księżyc późno wschodzi. Możemy wpaść w przepaść. O tej porze nikt nie jest pewny od tygrysa i węża.

— Nie bój się. Weźmiemy zapałki i rewolwer.

Dobre dwie godziny upłynęły, nim podeszli pod sam dom *Nantipy* i niespostrzeżeni przez nikogo, ukryli się w lasku bananów naprzeciw wejścia. Powoli i po jednemu schodzili się Ki-

warosowie, uzbrojeni w długie dzidy. Wszedłszy przez otwarte drzwi do pokoju, oświetlonego płomieniem grubych drzew palących się na ośmiu ogniskach, rzucali się natychmiast na posłania, bo na mocy urzędowego zaproszenia zwolnieni byli od ceremoniału powitalnego. Że zaproszenie chętnie przyjęli, o tem świadczyły wesołe szmery, potem pogadanki, rozprawy, w końcu krzyki, śmiechy i głośne hałasy. Niewiasty przygotowywały w dziesięciu garncach świeżą *cicię*, a w pięciu kotłach piekły się krwawe kawały dzików, niedźwiedzi i jeleni.

Trzy ostatnie silniejsze uderzenia w bęben oznaczały, że uczta się rozpoczyna, a kto nie nadszedł, ten ma przyspieszyć kroku, aby mu się jeszcze co dostało. Z legowiska podniósł się z trudem pochylony, zgrzybiały *Wisku* (1), który ze znachorem przyszedł z Mendez w odwiedziny. Z ręki najstarszej niewiasty wziął największy garniec z *cicią* i drżącemi rękami podał go gospodarzowi, który chciwie począł lać ulubiony napój częścią do gardła — a częścią po brodzie i piersiach na ziemię. Z rąk kapłana przeszedł garniec do łap znachora olbrzymiego wzrostu, o szerokich barkach i słusznej tuszy. On spojrzał po obecnych, z dumną miną przystąpił do chorego *Hugmy* i począł mu lać odurzający napój w usta. Blady i osłabiony pacjent kilka razy odwracał się od garnka, dając rozpaczliwe znaki, że więcej nie zniesie, ale herkulesowskie dłonie medyka tak długo trzymały go przykutego do skorupy, dopóki nie wypił całej zawartości aż do dna. Teraz dopiero zaczęło się właściwe leczenie od krzyku:

— *Wittá, wittá, niejtjustá*, w nogi, w nogi, puść go!

Aby się licho tem prędzej wyniosło, medyk przystanął na trzy kroki od chorego, dmuchał na niego tak zapalczywie, że obawiałem się o jego brzuch i policzki, wymachiwał rękami na różne strony, chrapiąc, rycząc, wyjąc i wydając inne głosy, które trudno określić. Na wołanie:

— *Himmea*, *himmea*, niewiasta przyniosła misę z czerwoną papryką, którą znachor wepchał w ogromnej ilości w chorego przez usta i innemi drogami, mówiąc:

— Zobaczycie, jak *igłanci* (1) będzie zmykał.

Jakoż biedny pacjent najprzód zaczerwienił się jak rak, potem pokrył się trupią bladością i rycząc, wyrzucił z siebie wielką ilość zielonawego płynu, który zalał pół izby. Niewiasty przyskoczyły z popiołem i miotłami, mężczyźni klaskali, a las huczał od ich potężnych śmiechów. Wszystkie garnce z *cicią* poszły w obieg, rzucono się do kotłów z wonnem mięsem, zapomniano o chorym. *Cici* spijano tyle, że niewiasty nie mogły nastarczyć żuć (2). Wkrótce poczęło im się kurzyć z czupryn, ton rozmów był co raz to weselszy i gwałtowniejszy, brzuchy pod działaniem pochłoniętego płynu zaokrąglały się jak balony. Zdyszane postacie bronzowych wojowników rozswawolone, chwiejące się na nogach, z biedą włóczyły się po izbie, potykając się często i padając. Pod przewodnictwem zgarbionego kapłana zorganizował się dziki, szalony, bezładny taniec naokoło słupa: żaden komik nie odtworzy ich min niemożliwych, żaden głos nie odda ich nieludzkich ryków, jakie w tym czasie wydawali. Co chwila zatrzymywano się i raczono *cicią*. Wreszcie wycieńczeni tańcem, odurzeni trunkiem rzucali się na legowiska, kładli się jeden na drugiego, dyszący, nadzy, bezprzytomni. Niewiasty poprawiły ognie i wtedy dopiero objęliśmy okiem całą brzydkość tej wstrętnej sceny: twarze powykrzywiane, usta otwarte i wydzielające pianę, oczy słupem stojące, włosy rozczochrane, piersi sapiące i zlane wymiotami, legowiska zanieczyszczone, zasłane resztkami uczty.

W kącie jęczał opuszczony chory *Hugma*. Dosłyszał go *Nantipa* i nie podnosząc się z posłania, krzyknął na znachora. Ten wstał, kazał się choremu podnieść, ścisnął mu silnie głowę, a puls i brzuch związał sznurami. Potem go położył, tarł mu w nieludzki sposób brzuch, nogi i plecy, i nakazawszy wszystkim milczenie, począł skakać po izbie jak opętany, aż się popita dzicz ze snu pobudziła. Wtedy udając, że kogoś niewidzialnego chwyta, ryknął:

— Jest! jest! Przychodzi z czarnymi duchami, aby się pomścić, abym nie spostrzegł,

---

(1) Wielki kapłan szczepów kiwaroskich, zażarty wróg chrześcijaństwa i cywilizacji. Jest u swoich poważany i ma na nich wielki wpływ.

(1) Zły duch, który (według wierzeń kiwaroskich) prześladuje ludzi i zsyła na nich wszystkie nieszczęścia.

(2) Sposób przygotowywania *cici* został podany w zeszłym numerze *Wiadomości Salezjańskich;* zob. str. 70 i nast.

gdzie jest choroba *Hugmy*. Ale ja wezwę na pomoc białych duchów.

Rzucił się na ziemię i leżał jakiś czas nieruchomy. Potem zerwał się, wchłonął w siebie wielką ilość powietrza i wskazując w górę, wołał:

— Już zstępują. Ilu *passug* (1)! Jak piękni! Wszyscy są biali i jaśniejący.

Wtem nagle skoczył ku choremu i przyłożywszy mu usta do żołądka, ssał jak pompa o dwóch tłokach. Potem wstał i zawołał na popitych:

— Oto macie jego chorobę!

Kilku się ruszyło i ujrzawszy w jego ręce kamyczek, żabkę i jakiś owad, byli przekonani, że lekarz wyssał je z wnętrzności *Hugmy*. Ale pacjent jeszcze boleśniej jęczał i medyk musiał odbywać dalszy ciąg leczenia. Stanął więc i przybrał natchnioną postawę, jakby mówił z duchami; to bladł, to się rumienił na twarzy, albo mdlał i truchlał. W końcu zwrócił się do *Nantipy* i rzekł głośno:

— *Passug* powiedzieli mi, że *Hugma* nie wyzdrowieje, jeśli pierw nie zginie nieprzyjaciel, który mu tę chorobę napędził.

— Jesteśmy chrześcijanami, nam nikogo nie wolno zabijać, — odpowiedział Wincenty (2), który tak miernie był pił, że był zupełnie przytomny.

— Milcz! młodziku, gruchnął stary kapłan. Na własne oczy widziałem, jak się dwóch białych biło długimi nożami, a inni im się z rozkoszą przypatrywali. Spytaj się jeno twych Ojców i *aparu obispo* (biskupa), czy ich się codziennie wielu nie zabija.

— Milczeć! zawył znachor, bo *passug* odejdą.

— Spytaj ich się o imię nieprzyjaciela.

Lekarza to niedyskretne pytanie trochę zaniepokoiło, ale postanowił spróbować szczęścia i po dłuższym namyśle przecedził przez zęby:

— *Nunjinga*.

— *Nunjinga!* — krzyknął ucieszony Wincenty, śmiejąc się głośno z medyka. — *Nunjinga* już dawno należy do nieboszczyków. Zabili go na brzegu rzeki *Santiago*. Powiedz tam twoim duchom, żeby lepiej zgadywały.

— Kiedy tak, to tem lepiej, odbąknął zmieszany nieco znachor.

Nantipa przypomniał sobie wtedy, że od O. Kiwara dowiedział się pod sekretem, iż młody *Katipi*, ten sam, który z misjonarzem ukrywał się opodal domu w bananach, chce poślubić siostrę kapitana *Kajapy*. Chcąc zatem prawdomówność duchów i znachora wystawić na próbę, rzekł do lekarza:

— *Spytaj* się duchów, czy znają Kiwarosa, który chce się ożenić, ale nie ma szczęścia. *Katipi* i misjonarz zadrżeli na te słowa w bananach. Medyk zaskoczony pytaniem, myślał dość długo i chcąc się wykręcić sianem, krzyknął:

— Ma on nieprzyjaciela, którego chce i musi zabić.

— *Wájatara*, kłamco! — ryknął z bananów *Katipi*, zapominając o tem, że przez to naraża siebie i misjonarza na niebezpieczeństwo.

— Kto tam krzyknął na dworze? zawył wściekły znachor, zrozpaczony niepowodzeniem kuracji.

— *Nantipo*, dodał gniewliwie wielki kapłan. Twoi nieprzyjaciele pod domem, a ty nie bierzesz swej dzidy, nie wychodzisz i nie walczysz?

Nantipa dźwignął się, chwiejnym krokiem ruszył przez izbę, wziął dzidę i strzelbę, i zabierał się do wyjścia z resztą gromady, która do pewnego stopnia już otrzeźwiała, posłyszawszy, że nieprzyjaciel na dom napada. Tymczasem stało się coś niezwykłego. Nim *Nantipa* wyprowadził swoich wojowników, za laskiem, w którym ukrywali się O. Kiwaro i *Katipi*, powstał hałas i rozległy się miarowe kroki jakiegoś większego oddziału wojowników, którzy w niebogłosy krzyczeli:

— On! on! to jego głos! Masz go, *Cingunji* (1). Pomścij swego ojca! *Ichjúta*, *ichjúta!* bij! zabij!

— Ojcze, rzekł cicho *Katipi* do misjonarza — albo to *igłanci*, albo Kiwarosowie mnie chcą zabić.

To rzekłszy, wpadł w środek lasu i znikł w ciemnościach. Tymczasem z progu domu *Nantipa* ryczał na całe gardło:

— Tak, tak! Zemsta! zemsta! My się pomścimy! Naprzód, pokażcie się! Poco się ukrywacie? *Ichjúta! ichjúta!* bij! zabij!

I biegiem ruszył ze swymi ku nieprzyjacielowi, krzycząc okropnie, jakby chciał zagłuszyć wściekłe ujadanie psów i przeraźliwe wycie kobiet. Gdy się oddziały tak do siebie zbliżyły,

(1) Dobrzy aniołowie.

(2) Największy zwolennik katolicyzmu i reform w duchu chrześcijańskim.

(1) Indjanin, który umierającemu ojcu poprzysiągł zabić młodego *Katipi* za krzywdy doznane od jego rodziców.

że mogły się rozpoznać, zdumiały się obie strony, wszyscy opuścili dzidy, bo spotkali się z przyjaciółmi.

— Co znaczą te wasze krzyki?

— A wy czego chcecie? Za co nas napadacie?

— Poco nas przyjmujecie okrzykiem wojny?

— Więc o cóż wam chodzi? Czegoście się tak odgrażali?

— A gdzież *Katipi?*

— Czy on tu miał być?

— Jam go widział.

— Tu są jego ślady.

— Nie może być. Nie było go tu!

— Nie było. To *Igłanci* się pokazał.

— Napewno *igłanci?*

— Tak, tak. Widziałem, jak coś w powietrzu zabłysło.

— Czy nie czujecie niemiłej woni po nim.

— A jednak, utrzymywał rozjuszony *Cingunji*, widziano go tutaj. Umyślnie się wybrałem, aby go napaść i pomścić ojca.

— *Igłanci* go porwał, zakończył *Nantipa.*— Chodźcie pić i tańczyć.

... W lesie zapadła znowu ciemna, cicha noc. Ojciec Kiwaro wyszedł ostrożnie z kryjówki, posuwał się brzegiem lasku, aż dostał się do gęstej puszczy, wśród której ledwo odszukał ścieżkę prowadzącą do misji. Właśnie w tej chwili ukazał się księżyc na niebie i od czasu do czasu przedzierał się przez gęstwinę, aby przyświecić krokom misjonarza, głuszonym ponurem hukaniem puszczyków, ujadaniem psów u *Nantipy* i warczeniem bębna, który ponownie odezwał się grobowym tonem, zwiastując, że uczta będzie zaraz na nowo podjęta...

Na progu domu misyjnego stał zziajany i drżący Katipi.

— Ojcze, nie chciałem tam pójść.

— Cóż takiego? Widziałeś tygrysa lub węża?

— Ojcze, ja się jeszcze trzęsę. *Cingunji* czyha na moje życie. Co się ze mną stanie?



TANJORE (Indje) — Kazanie po poświęceniu kamienia węgielnego.

— Bądź dobrym chrześcijaninem, trzymaj się Ojców a nic ci nie będzie.

W lesie tymczasem huczał ciągle złowrogi, groźny bęben...

(C. d. n.)

Do Wielu.

NIEDAWNO, pisząc o powołaniu do stanu zakonnego i duchownego (1), twierdziłem, że nie należy odwodzić od służby Bożej tych młodzieńców, którzy do niej zostali przez wewnętrzny głos łaski wezwani. Dziś wracając do tego samego przedmiotu, posuwam się naprzód i utrzymuję, *że zasługą jest powołanie ratować i wspierać.*

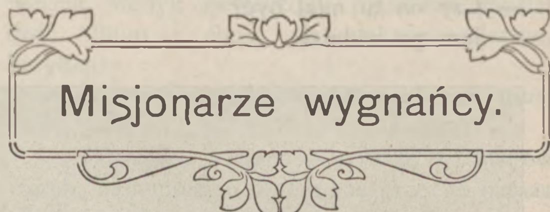
(1) Zobacz *Wiadomości Salezjańskie*, r. 1907, nr. 2, str. 39.

Kto ma choć odrobinę wiary w sercu, niepodobna, aby nie odczuł żywej boleści na myśl, że więcej niż dwie trzecie rodzaju ludzkiego jęczą jeszcze w ciemnościach niewiary i błędu, nie znając Chrystusa ani drogi do nieba. Od wieków powtarzają biskupi misyjni, wikarjusze apostolscy i misjonarze znane wołanie św. Franciszka Ksawerego: *Ślijcie nam w pomoc pracowników ewangelicznych!* Wszystkie listy pisane przez naszych księży z Argentyny, Ekwatoru wschodniego i Brazylji kończą się zawsze tą zwrotką, że brak ludzi do pracy, że żniwo obfite dojrzewa na ogromnych polach dziewiczych a nie widać robotników. Któż nie wie, jakie zadanie mają jeszcze do spełnienia misje w świecie? Jedną z największych trosk Kościoła jest ubytek wybrańców, którzyby się trudów apostolskich podjąć mogli.

Nie tak uderzający, ale równie dotkliwy jest brak duchowieństwa wśród ludów chrześcijańskich i u nas. Który kraj nie utyskuje na stopniowe zmniejszanie się liczby powołań? Która dyecezja nie odczuwa ich braku? Który zakon nad nim nie ubolewa? Znamy parafie bez pasterzy, znamy kapłanów w młodym wieku złamanych nadmierną pracą, wiemy o setkach posad nie obsadzonych (z wielką szkodą wiary) dla braku księży, znamy konwenty stojące pustkami lub nawpół opróżnione, wiemy o licznych potrzebach narodu, któreby z łatwością uchyliła większa ilość zakonników. Co się stanie z ludem bez kapłana, kiedy się dziś tylu fałszywych proroków o jego pozyskanie ubiega? Ta młodzież słaba i niedoświadczona, jak się bez ciepłego słowa kapłańskiego pokieruje? W zamęcie społecznym kto bronić będzie zasad katolickich, które tak szybko zanikają wśród klasy robotniczej, a bez których pokój i równowaga w społeczeństwie przywrócona być nie może? Gdzie wpływ kapłana nie sięga, tam albo lodowata nienawiść serca zamraża, albo swawolny wicher krwawe burze niesie, albo się występek i rozpusta szeroko rozlewa. Dowodem na to kronika dzienników.

Łatwo więc pojąć, jaka to zasługa wspieranie powołań duchownych i jaki obowiązek. Jeżeli jest godzien uznania, kto łoży pieniądze na cele artystyczne, naukowe, dobroczynne, to tem więcej przysługuje się społeczeństwu, kto mu wychowuje i dostarcza kapłana. Swięty Wincenty a Paulo mawiał, że *niepodobna dokazać większego dzieła, jak przyczyniając się do wykształcenia wzorowego kapłana.*

Sciśle rzecz biorąc, przyznać trzeba, że właściwie powołań nie brak, ale się marnują dla braku opieki i pomocy. Bóg, który na podbój świata nie wysłał milionerów, ale biednych rybaków, i dziś głównie w ręce biednych składa losy Kościoła i przeważnie synów ludu przyzywa do swej służby. Nic więc prostszego, jak pomyśleć, że nie będzie im zbywało na życzliwem poparciu ze strony zamożnych, choćby tylko ze względu na czysty ideał, ku któremu swe życie zwrócili. Tymczasem — bardzo często nie dochodzą do celu, bo nikt im nie chce udzielić pomocy. Nikt! choć tyluby mogło, choć wszyscy modlimy się w pacierzu: *Przyjdź królestwo Twoje!*



Obrazek z czasów prześladowania zgromadzeń zakonnych w rzeczypospolitej ekwatorskiej.

(Ciąg dalszy).

Rozdział XVI.

O północy rozległ się odgłos trąbki. Żołnierze i księża dosiedli koni i ruszyli z *Ottavolo.* Jechano cały dzień i dopiero o zmierzchu dotarto do wioski *Salinas.*

Znużenie wygnańców było tak wielkie, stan zdrowia u niektórych tak niepokojący, że komendant eskorty, obawiając się, aby mu wszyscy w lasach nie pomarli, zgodził się na pewne ustępstwa. Mianowicie pozwolił przełożonemu wysłać do gubernatora prowincji *Ibarry* protest przeciw nieprawnemu uwięzieniu, banicji i rozporządzeniu policyjnemu, na mocy którego miano ich odstawić do granicy republiki peruwiańskiej przez bezludne i nieprzebyte puszcze *Pajlon.*

Po dwóch dniach przybył goniec z dwoma listami, które natychmiast oddano księdzu Calcagno. Było to o północy. Misjonarze powstawali, otoczyli przełożonego i oczekiwali wyroku. Ksiądz Calcagno przy słabem świetle kaganka oderwał pieczęci pisma gubernatora, przebiegł je szybko oczyma i odczytał współbraciom. Ton listu wcale nie był zły, ale treść nie najlepsza. Gubernator nie wierzył, by droga miała być tak niebezpieczna i ręczył, że nikt w lesie kości nie zostawi. Zauważył też, że niektóre wyrażenia protestu były za silne i drażniące, ale pozwolił zatrzymać się jakiś czas w *Salinas* dla wypoczynku.

Drugi list był od ks. biskupa i brzmiał jak następuje:

„Wielebny Ojcze! P. Gubernator zawiadomił mnie uprzejmie o przybyciu do Salinas Waszej Wielebności z towarzyszami. Niezwłocznie zwróciłem się do Rady Ministrów z prośbą o zniesienie rozkazu, na mocy którego nastąpiło Wasze wydalenie ze stolicy rzeczypospolitej. Lecz dotąd nie mam odpowiedzi od Rządu. — Dziś w nocy zwrócę się telegraficznie do p. Generała Franco, by u niego coś dla Was wskórać.



TANJORE (Indje) — Poświęcenie kamienia węgielnego pod zakład salezjański.

„Równocześnie z moim listem otrzyma Wasza Wielebność pismo p. Gubernatora, który pozwala, by Wasza Wielebność i współbracia przez dzień jutrzejszy wypoczęli w Salinas.

Życzliwy sługa W. W.

Ibarra, 28. sierpnia 1896 r.

✠ Fryderyk, Biskup.

Z tego listu nikt nie uronił literki: wszyscy zrozumieli, komu mają do zawdzięczenia zezwolenie na chwilowy pobyt w *Salinas* przed puszczeniem się w awanturniczą podróż przez lasy.

Tymczasem sprawy dojrzewały i niepokoiły misjonarzy i żołnierzy. Już w Ottavolo lud odgrażał się, że gwałtem uwolni księży, czem sami więźniowie byli zatrwożeni, bo rząd byłby im przypisywał wywołanie zamieszek i spiski. To też starano się wszelkiemi siłami o uspokojenie umysłów, ale daremnie, bo coraz częściej odbijały się o uszy misjonarzy i żołnierzy różnego rodzaju pogróżki i ostrzeżenia. Pod wieczór 26. sierpnia wrzucono do mieszkania księży kartkę z taką przestrogą: „Gdy Ojcowie posłyszycie wystrzały, upadnijcie zaraz plackiem na ziemię.“

Te alarmujące zapowiedzi poważnych wypadków zaostrzyły czujność komendanta, który obawiając się przelewu krwi, zawołał księdza Calcagnę i zaczął mu przedstawiać, że „tu jakoś niedogodnie nocować, że brakło siana“ i. t. d. i czy nie byłoby lepiej gdzieindziej poszukać noclegu. Misjonarz wypowiedział otwarcie swoje obawy i postanowiono wyjechać nagle z *Salinas*, dostać się jeszcze tego wieczora do *Cujary* i tam przenocować u pewnej Pomocnicy Salezjańskiej.

Podróż odbyła się bardzo prędko, bo konie były wypoczęte. Księża już drzemali w *Cujarze*, gdy w *Salinas* po niewczasie organizowano napad na żołnierzy.

(Ciąg dalszy nastąpi).



MISJE SALEZJAŃSKIE

Kto pójdzie?

Kto ma iść nawracać pogan? Kogo i jak powołuje Pan Bóg na robotników do winnicy swojej? Gdyby na misjonarzy wychodzili tylko ci, których jakieś cudowne, nadzwyczajne objawienie na tę drogę pokierowało, to mielibyśmy bardzo mało misjonarzy. Nawracać ludzi do Boga, to *divinorum divinissimum*, z dzieł Bożych dzieło najbardziej Boskie; być powołanym do tego dzieła, to łaska wielka, której trzeba się stać godnym, a kto chce stać się jej godnym, musi okazać serce wielkie, skore do ofiar. cierpień, znojów. Zatem powołania na misje nie można się spodziewać w rodzinie, choćby bardzo religijnej, lecz wychowującej dzieci pieszczotliwie i miękko. Powołanie, to także ofiara dobrowolna, której Pan Bóg wygląda od ludzi za łaski zlewane przez długie lata na rodzinę. Niejedna matka patrząc na swe dziecko, przypomina sobie, iż to dziecko z jej winy może stało już jedną nogą w grobie na krawędzi wysokiego okna, nad studnią, przy torze kolejowym, nad głębią; — wie, iż Anioł Stróż okazał w sposób widoczny swą opiekę nad niem; czuje, iż to dziecko już do niej nie należy: niechże więc uczyni z niego ofiarę, niech je w sercu swojem poświęci Bogu, niech następnie prosi Boga, aby mu udzielił łaski powołania, i niech je wychowuje tak, aby ono mogło wiernie i statecznie iść za głosem Bożym, skoro się tenże w jego sercu odezwie.

INDJE.

Położenie kamienia węgielnego pod zakład salezjański w Tanjore.

Tanjore, 12. grudnia 1906.

Najprzewielebniejszy i Najukochańszy Księże Generale!

Miło mi donieść Najukochańszemu Ojcu, iż ósmego b. m. w uroczystość Niepokalanego Poczęcia Panny Marji położono kamień węgielny pod mający się tu wznieść zakład salezjański.

Obrząd był ze wszech miar zajmujący. Po mszy świętej wszystek lud przy śpiewie hymnu *Ave Maris Stella*, wraz z duchowieństwem, udał się na oznaczone miejsce, gdzie Przew. ks. proboszcz S. Coelho poświęcił uroczyście kamień węgielny, zaczem jeden ze starostów odczytał następujący dokument:

„Wroku 1906 ym, dnia 8. grudnia, w uroczystość Niepokalanego Poczęcia Panny Marji, Kościołem rządził Ojciec św. Pius X, a dyecezją meljaporską Najprzew. ks. biskup Teutonjusz Emanuel Ribeiro de Castro; gdy generałem Salezjanów ks. Bosko był Najprzew. ks. Michał Rua, Przew. ks. Ksawery Coelho, proboszcz tanjorski, w asystencji swego wikarego ks. Pawezego Zuzarta, poświęcił kamień węgielny pod ten dom, przeznaczony dla Salezjanów, w tym roku przybyłych do Tanjore celem założenia pierwszego domu w Indjach.

„Byli przy tem obecni Przew. ks. Jerzy Tomatis, dyrektor salezjański w Tanjore, oraz jego współbracia. Przybył również Wielebny B. Deltour, Misjonarz Apostolski, proboszcz z Tirunadi ze swoim współbratem Wielebnym ks. Laplace, proboszczem z Ajampetu.

„Starostami byli pan R. Colundasami Pilar, sekretarz municypalny i pan S. Arokiasami Pillai Chaltram Tahsildar.

„Na obrzęd zeszło się również wielu Pomocników Salezjańskich i mnóstwo ludu.“ Dokument zamknięto w kamieniu wspólnie z obrazkiem

i kilku medalikami Marji Wspomożycielki i niektóremi pamiątkami po ks. Bosko.

Po skończonym akcie zabrał głos Przew. Ojciec Deltour. Mówił (po tamulsku) o niepokaźnych początkach dzieła Salezjańskiego w kościele św. Franciszka z Asyżu w Turynie w dniu Niepokalanego Poczęcia Panny Marji roku 1841; wspomniał o opatrznościowym rozwoju tego dzieła i wyraził życzenie, aby pierwszy ten dom Salezjański w Indjach mógł zakwitnąć takiem życiem i rozwojem, jak wszystkie inne fundacje Salezjańskie. Uroczystem *Laudate Dominum* zakończono obrząd.

Dzień ten, rozpoczęty pobożnem nabożeństwem w kościele u stóp Marji, a następnie poświęceniem kamienia węgielnego, przeszedł cały w jak najserdeczniejszem weselu i zakończył się pięknym i dobrze udanym wieczorkiem na cześć *Niepokalanej*.

W tym celu wielka sala, służąca za szkołę i ochronkę, zamienioną została na salę teatralną. Zbiegło się mnóstwo ludu, tak chrześcijan, jak i pogan; wielu musiało pozostać na dworze dla braku miejsca.

Gdy podniesiono kurtynę, ukazał się wspaniały transparent, wykonany przez naszego kleryka Balestrę, gdzie wśród wieńców i kwiatów odbijała się w ślicznych kolorach postać Marji Wspomożycielki. Na ten widok podniósł się jednogłośny okrzyk podziwu, zakończony przedłużonymi oklaskami. Po raz pierwszy Najśw. Wspomożycielka, z dzieciątkiem na ręku i z berłem w dłoni, wystawiona została publicznie wobec tylu Indusów; a już tem pierwszem ukazaniem się podbiła sobie ich serca, bo ci dobrzy ludzie, pełni uczuć i nabożeństwa, nie mogli się dość napatrzeć jej pięknemu obrazowi.

Teraz przed obrazem występowali wychowankowie, eksterniści, a nawet Pomocnicy Salezjańscy, aby śpiewem i różnemi kompozycjami okolicznościowemi, w angielskim i tamulskim języku, złożyć Najśw. Marji Wspomożycielce hołdy czci i miłości.

Nakoniec odegrano dramat pod tytułem *św. Gaudencjusz,* w trzech aktach, przetłumaczony z francuskiego na język tamulski. Mali aktorzy, nasi wychowankowie, wywiązali się z swych ról bardzo dobrze i wywoływali częste oklaski.

Po skończeniu przedstawienia Przew. ks. Proboszcz publicznie wyraził swe zadowolenie i zachęcił swych parafian, aby się nauczyli od świętego Gaudencjusza stać silnie i wytrwale przy wierze nawet wpośród otaczających ich bałwochwalców.

Zjawił sie jeszcze raz transparent Marji Wspomożycielki, przed którą wszyscy chrześcijanie w obecności pogan odmówili modlitwy wieczorne.

Nazajutrz w niedzielę odbył się popis katechetyczny wychowanków i eksternistów; królem został jeden z wychowanków, śród hucznych oklasków publiczności uwieńczony wieńcem z kwiatów przez ks. proboszcza.

Kończę to opowiadanie, Najukochańszy Ojcze, życząc Tobie i wszystkim przełożonym szczęśliwego zakończenia starego, a dobrego rozpoczęcia nowego roku.

Najprzywiązańszy w S. J.
Ks. Jerzy Tomatis.

MATTO GROSSO.

(BRAZYLJA).

Szczep Bororosów (Bororos).

(Studjum Ks. Antoniego Malana).

Od Przew. ks. Antoniego Malana, przełożonego naszych misji w Matto Grosso, odebraliśmy pierwszą część studjum nad szczepem Bororosów, które uważamy sobie za obowiązek przedłożyć naszym Czytelnikom. Gorliwy misjonarz zamierza przesyłać nam wszystkie wiadomości, jakie w ciągu dwunastoletniego doświadczenia i pracy apostolskiej on sam i jego współbracia, oddani pracy cywilizacyjnej śród Bororosów, zdołali zebrać, a dotyczące ich historji, religji i obyczajów. Może w tem studjum będzie, jak sam powiada, wiele luk, ale na razie jest ono wszystkiem, co o tym szczepie dokładnego dowiedzieć się było można.

I.

Treść: *Początek szczepu — Pierwsze jego podania — Wojna z Parecyami — Pierwsze zetknięcie się z cywilizowanymi — Represje — Kolonja* Teresy Krystyny *pod kierownictwem Salezjanów — Rozproszenie szczepu — Ponowne starcia z cywilizowanymi — Szczep zagłębia się w bory — Początki ewangelizacji — Założenie kolonji Najsłodszego Serca. — Wojna z Kajapami (Kajapos) — Inne wiadomości.*

Początek szczepu. — W bardzo odległej przeszłości bojownik ze szczpu *Tupy*, nazwi-

skiem Bororo, uchodząc z placu boju swego plemienia z Tymbirami, stanął po dwudziestomiesięcznej podróży w okolicy Matto Grosso, w towarzystwie żony i czterech synów: *Itubori, Akorubo, Hibori, Hirubo.*

Rodzina ta, która z czasem dała początek szczepowi bororosko-koroadzkiemu, osiedliła się nad brzegami rzeki *Kajapo-Grande.* Nie tracił otuchy *Bororo* na widok niedobitków swego plemienia, ufny, iż z nich powstanie pokolenie więcej wojownicze. Jakoż dożył radosnej chwili, iż drżącemi rękoma mógł uściskać swoich wnuków, nim umarł niby pień długowieczny, uwieńczony wawrzynami zebranymi na polach bitew.

Rządy były naturalnie patrjarchalne, więc po *Bororze* objął je pierworodny jego syn *Itubori.* W rozkosznych cieniach puszcz, żywiony tą przyrodą, którą wieszcz „*córką Bożą*" zowie, rósł i wyrabiał się szczep.

Pierwsze podania. — Dopóki zwierzyny było wbród, *Bororosowie* nie wiele oddalali się od ogniska swojego szczepu, a zatem nie było niebezpieczeństwa, żeby zostali odkryci przez groźnych *Kajapów.* Ale gdy nie stawało środków do życia, zachodziła coraz częściej potrzeba puszczania się na dalsze wycieczki, trwające nieraz dni kilka. Na jednej z nich szczep spotkał się z *Kajapami,* którzy chcąc się pozbyć sąsiedztwa szczepu, który zapowiadał wielki rozwój w siłach i w liczbie, zażądali od *Bororów,* aby się usunęli, co też ci uczynili bez oporu i poszli osiedlić się w pobliżu *Albukuerkue,* w krainie pareckiej. Ale Parecjanie stąd ich wypędzili. Dotarli wreszcie do źródeł rzeki *św. Wawrzyńca* i postanowili raczej zginąć pod namiotami, niż dać się zniewolić do trzeciej emigracji. Wrogie szczepy, bądź z nieznajomości siły *Bororów,* bądź z lekceważenia okolic *św. Wawrzyńca,* zostawili ich w spokoju.

W tym to okresie pokoju *Bororowie* rozmnożyli się tak, iż ziemia ta stała się dla nich niedostateczną i musieli myśleć o zajęciu nowych krain.

Ale niewprawni w używaniu broni, uchwalili na zebraniu naczelników poszczególnych rodzin, aby starzy ćwiczyli młodzież w pasowaniu się, w strzelaniu, w bieganiu, w pływaniu. Bronią ich były strzały i kije; uważając to atoli za niedostateczne, prosili barego *Meriurę,* aby się poradził *Bopego* (1), *Mareby* i *Tupy* co do swych potrzeb wojennych.

(1) *Bope:* zły duch; *Mareba:* duch dobry; *Tupa:* przodek, protoplasta Indjan.

Otóż pewnego dnia, opowiada legenda, gdy cały szczep był zgromadzony pod przewodnictwem *Meriury,* przyszli od wschodu *Bope* i *Tupa* dogue: ten z bronią palną w ręku, tamten z łukiem. *Tupa dogue* wskazał Indjanom cel mówiąc, iż jeżeli doń trafią z karabinu, to go dostaną. Wszyscy chybiali, a za każdym strzałem jedni pół-żywi upadali na ziemię, inni przerażeni, postradawszy zmysły, uciekali, kryjąc się i krzycząc w niebogłosy od przestrachu. Nie było więc sposobu uzyskać strzelby.

Wtenczas *Bope* podał im łuk ze strzałami, którym wszyscy umieli się posługiwać w sposób godny podziwu. Później inny *Tupa dogue* przyprowadził cywilizowanego ubranego za *Borora,* który ze strzelby trafił do celu, — ale na niespodziewany huk wystrzału Indjanie upadli twarzą na ziemię. Kwestja była rozstrzygnięta: strzelby ogniowe dla cywilizowanych, łuki i strzały dla dzikich (1).

Z biegiem lat, odczuwając brak obrzędów publicznych, wierzeń religijnych oraz igrzysk, wezwali *Merjurę,* aby zasięgnął rady bogów co do tej sprawy; odpowiedź była przychylna. Bogowie ukazali się *Bororom,* pouczając ich o żądanych igrzyskach i zabawach, podczas gdy *Merjura* sam był ich już poprzednio nauczył religji i zwyczajów, których się mieli trzymać. Tak zorganizowany szczep przygotowywał się do walki zaborczej przeciw Parecjanom, ćwicząc się w gęstych borach, w kryształowych nurtach rzeki i na rozległych łanach tak licznych w owej dziewiczej przyrodzie. Naonczas dowodziło już kilku starszych t. *zw. kacyków.*

Wojna z Parecjanami. — Pod dowództwem młodych *Ituburiego* i *Akoruby, Bororosowie* poszli rozbić namioty naprzeciw szczepu Parecjanów. W dzień potem dowódcy przypomnieli wojownikom krzywdy, wyrządzone ich ojcom przez Parecjanów i Kajapów, przedstawili w żywych barwach czyny nieboszczyka *Tupego,* podając go jako wzór, którego dzielność i wprawę wojenną powinni naśladować. Wojownicy zachęceni temi mowami, zapalili się do tego stopnia, że sami prosili kacyków, aby natychmiast wydali bitwę.

Pierwsza bitwa. — Nastąpiło kilka uporczywych starć. Jedno i drugie plemię biło się

(1) Czytelnicy zrozumieją, iż wiadomości te mają tylko znaczenie mitologiczne. Pod tym względem są one jednak bardzo cenne.

z równą zręcznością i męstwem, które wywołało czyny bohaterskie, mogące się prawie mierzyć z czynami starożytnych Rzymian. *Bororosowie* aczkolwiek liczebnie słabsi, odszczególnili się od Parecjanów nieustraszonością i brawurą. Synowie *Ituburiego* i *Akoruby* polegli na polu bitwy, nie ustąpiwszy ani kroku. W bolesnej chwili konania kacykowie wezwali do siebie kochanych synów, by im kazać poprzysiąc, iż będą dalej prowadzić wojnę. *Minori* i *Mariduhiapo* zrządzeniem bogów przemogli śmierć nom, znajdującym się już po prawej stronie rzeki św. *Wawrzyńca*. *Bakororo* pierwszy rzucił się wraz z swymi braćmi i z garstką walecznych w nurty rzeki; ale dotarłszy do przeciwnego brzegu, tak się zapędził w las za śladem uciekających, a w szale entuzyazmu tak się oddalił od swoich, iż wraz z zuchwałą komitywą zginął wśród borów.

Trzecia i ostatnia bitwa. — Po śmierci *Bakorory* objęli dowództwo jego synowie i synowcy, którzy zaraz w pośpiesznych pochodach



Wychowankowie zakładu salezjańskiego w Bahii (Brazylia).

i pewnego ślicznego poranku zjawili się wśród braci. *Mareba* przywrócił ich do życia, aby szczepem, aż się po odniesionych stratach podniesie, dowodzili.

Druga bitwa. — Gdy się *Bororowie* wzmogli na siłach i stali się zdolnymi do wznowienia walki, *Minori* i *Mariduhiapo* zostali powołani na tamten świat, nie prędzej atoli, aż dali szczepowi gotowy plan walki, w której mieli zupełnie pokonać siły nieprzyjacielskie Parecjanów. Posłuszni wskazówkom dogorywających naczelników, uderzyli na wroga, który, nie mogąc wytrzymać gwałtowności natarcia, cofnął się w porządku. Zostawszy panami pola, ale bez jeńców, napastnicy zapaleni dzielnością wodza *Bakorory*, zamierzyli przeciąć odwrót Parecjanów dopadli tylną straż wojska Parecjanów. Wywiązuje się nowa, rozpaczliwa, krwawa walka. Atoli szeregi Parecjanów nacierają jeden za drugim, wzmacniają się i walą w hufce bororskie, które ostatnimi wysiłkami chcą ich rozproszyć. Parecjanie pełni bezprzykładnej dotąd odwagi, gromią *Bororosów*, zmuszając ich do nieszczęśliwego odwrotu aż do prawego brzegu rzeki *św. Wawrzyńca*. W tej bitwie obie strony zabrały jeńców, a niektórzy kacykowie bororscy postradali życie. Tą ostatnią bitwą, której wygranie było rozstrzygającem, skończyła się wojna *Bororsko—Parecka*.

Do tych to czasów dochodzi widocznie szereg bohaterów, którymi się chlubią *Bororowie*. Bohaterzy ci, którzy są jakoby święci dla In-

djan, rozpadają się na uprzywilejowanych i nieuprzywilejowanych. Pierwsi są twórcami igrzysk i śpiewów, drudzy patronami wypraw indjańskich. Ponieważ znajomość nazw mitologicznych bororskich może być użyteczną dla badających początki głównych szczepów amerykańskich, podam tutaj ich spis.

Brzmią one, jak następuje: *Bororo*, *Bakóróró*, *Itubóri*, *Akorubo*, *aMnóri*, *Mariduhiapo*, *Baiturorixô*, *Baturorikugago*, *Barabara*, *Barabara-mareguedo*, *Jure*, *Kuimagudo*, *Bokohudżeba*, *Burikabio*, *Aere*, *Aere-midżera*, *Tamigue*, *Kagaekagae*, *Pajej*, *Remakudziague*, *Buzygodo*, *Buregodo*, *Naburere*, *Garudori*, *Troári*, *Kuidóri*, *Kiegurere*, *Meri-ruto Meri-buto*, *Kugaro-Boróro*, *Oho*, *Kogue-Bakôrôrô*, *Atorua*, *Oroairiba*, *Joadien*, *Kigaio*, *Barubaru*, *Toi-toi*, *Etário*, *Apumoio*, *Uagnóre*, *Panajare*, *Itarjapo*, *Huagumêri*, *Atomoio*, *Hibajare*, *Jaruruko*, *Kuhugore*, *Koguêrê*, *Mano-hajaga i Marido-haiaga*.

Pierwsze zetknięcie się z cywilizowanymi. — Kiedy do ówczesnej prowincji *Matto Grosso* poczęły dostawać się pierwsze dobrodziejstwa cywilizacji, szczep bororski, pod wodzą potomków *Bakorory*, cieszył się zupełnym spokojem, zatem wzmógł się znacznie i wzrósł w liczbę i potęgę.

Z *Kujabą*, punktem środkowym handlu i przemysłu, jaki się zawiązywał w różnych miejscowościach cywilizowanych, nie istniała jeszcze wówczas żegluga rzeczna, a jedyną drogą komunikacyjną ze stolicą był trakt, który wytknął pierwszy prezydent prowincji, kiedy z garstką załogi z *Rio-Janeiro* wyprawił się w te krainy. Stąd karawany kupieckie, przebywające często tę drogę, bywały nieraz napadane przez rozgłośnych *Bororów*. Nieraz upływały miesiące bez korespondencji ze stolicą jedynie z tej przyczyny, że Indjanie mordowali w barbarzyński sposób gońców, którzy wozili korespondencje.

Gdy odkryto ten szczep, koczujący gromadnie po puszczy i napadający na nieostrożnych podróżnych, uznano za potrzebne znieść go zupełnie, czego też dokonano za pomocą dwudziestego batalionu artylerji. Po trzy razy *Bororowie* ustawiwszy się w szyku bojowym, stawiali czoło najeźdźcom: ale *Rondon* i *Lara* rozproszyli ich i część ich wybili. Zjawili się jeszcze raz ze zdwojoną nieustraszonością, ale major Antoni *Duarte* rozgromił ich doszczętnie.

Represje. — *Duarte*, wówczas porucznik, na czele oddziału walecznych opuścił okolicę cywilizowaną i ruszył ku południowym puszczom tropić groźnych *Bororów-Koroadów*. Po kilkutygodniowym pochodzie natrafili na garstkę ludzi tego szczepu, których obdarowano różnymi podarkami. Wnet znalazły się inne oddziały, których życzenia i żądania w podobny sposób zaspokojono. Atoli zdradliwi dzicy przeszyli strzałami kilku żołnierzy, którzy nie spodziewając się zaczepki, oddalili się od oddziału, aby się nacieszyć widokiem natury, tak pięknej i cudnej w owych stronach. Wtedy błysnęły szable w promieniach słońca, a strzały karabinowe rozległy się ponurem echem po puszczy. Nastąpiły rozpaczliwe starcia.

Nieszczęsna rasa bororska szamotała się w objęciach ostatecznej zagłady i byłaby została zupełnie zduszona, gdyby jej nie była ocaliła pewna młoda Indjanka. Ta bohaterka po zażartej walce, w której wielu Indjan dostało się do niewoli, zdjęta litością nad nieszczęśliwymi braćmi, prosiła *Duartego*, aby jej pozwolił pójść do swoich celem ułożenia warunków pokoju. Poszła — a po trzech dniach powróciła z pięciuset Indjanami, pozostałymi w obozie bororskim, którzy zawstydzeni, z głową spuszczoną złożyli swą broń (łuki, strzały, maczugi żelazem obite itd.) u stóp zwycięzcy. Zwyciężonych otoczono żołnierzami i odstawiono do *Kujaby*.

Tu z tym zasobem nauki, ile im mogła wbić do głowy szabla, doszli do tego, iż mogli zostać ochrzczeni i przedstawieni *Kujabianom* jako żywioł zupełnie pokojowy. Wtenczas to *Duarte* zawołał: „Zadanie szabli spełnione; teraz niech przyjdą słudzy Ewangielji, a promienie nauki świętej niech rozjaśnią te puszcze!“ Systemem represyjnym na więcej zdobyć się nie mógł.

Osada Teresy Krystyny pod zarządem Salezjanów. — Pan Dr. Emmanuel F. *Martinho* którego imię zostanie po wieczne czasy sławne w dziejach państwa, którego był pierwszym prezydentem, przyłączając się do nalegań Najprzewieleb. ks. biskupa Karola L. d'*Amoura* biskupa kujabskiego, prosił św. p. ks. biskupa *Lasagnę*, aby posłał do stolicy kilku misjonarzy. W roku 1894 tenże ks. Lasagna z kilku synami ks. Bosko przybył na ziemie mattogroskie i na nich przy pomocy Bożej zatknął sztandar, którego symbolem jest modlitwa i praca, a programem słowa: *Da mihi animas, caetera tolle.*

Przez następne cztery lata zajmowaliśmy się więc cywilizowaniem dzikich. W krótkim prze-

ciągu czasu 23 miesięcy kolonia Teresy Krystyny uległa takiej zmianie, iż zapowiadała jak najpomyślniejsze owoce.

Ustały groźne napady, a pokój zapanował śród okolicznych mieszkańców. Dorośli Indjanie łączyli się do naszych ludzi w pracy polnej; dzieci uczęszczając do szkół misyjnych, odbierały wykształcenie oparte na wychowaniu religijnem.

Sprowadzono również niektóre maszyny gospodarcze celem podniesienia rolnictwa i pewnych niezbędniejszych gałęzi przemysłu; słowem osada znajdowała się w stanie, zapewniającym na jakiś czas wyżywienie kilkuset Indjanom, jak to zaznaczyłem w *Gazecie Urzędowej* ze stycznia 1898 roku. Co wydawało się niepodobnem żołnierzom, tego z łatwością dokonała religia w cieniu krzyża św. Ale gdyśmy w roku 1898 zaczęli zbierać pierwsze owoce naszych mozołów, spodobało się Panu, może dla doświadczenia naszej stałości, abyśmy rozporządzeniem trzeciego wice-prezydenta rządu zostali pozbawieni misji, którą szlachetny Dr. Emmanuel *Martinho* oddał nam nietylko tytułem wspaniałomyślności i patrjotyzmu, ale formalnym aktem urzędowym. To też z boleścią, ale ufni w opatrzność Bożą, opuściliśmy żyzną niwę, która rokowała najpiękniejsze nadzieje na przyszłość.

P. Bóg, który umie złe obrócić na dobre, otworzył Salezjanom rozleglejsze pole pracy, żyźniejsze i plenniejsze od pierwszego, na korzyść tychże samych Indjan.

W walce z cywilizowanymi. — Po ustąpieniu Salezjanów, zarząd osady przeszedł na porucznika *Epifaniusza*, a kolejno i na innych, którzy niestety nie umieli, jak należało, spełniać swego zadania, nie znając sekretu misjonarza w cywilizowaniu dzikich. Ci rozpierzchli się ponownie po lasach, a powróciwszy do swych pierwotnych, barbarzyńskich zwyczajów, pomni walk staczanych przez swych ojców z cywilizowanymi, postanowili wznowić wrogie stosunki, gotowi poledz na polu bitwy.

Bolesna pamięć represji *Lary*, *Rondona* i *Duartego*, która się już była prawie zatarła w ich sercach w czasie pożycia z misjonarzami, teraz roznieciła w nich niepohamowaną żądzę zemsty.

Indjanie *Kajapożyńscy* (Kajapozynho) dopuścili się okropnych wybryków, spłądrowawszy kilka farm i zamordowawszy ich mieszkańców zatrutemi strzałami. Napadli najpierw na dom pułkownika Emanuela *Ignacio*, bogatego i szlachetnego przemysłowca, żyjącego owocem swych prac z żoną i siedmiorgiem dziatek. Jego dom znajdował się w małej odległości od aldei Indjan, których gościł zawsze z uprzejmością.

Pewnego dnia, gdy słońce skryło się za gęstemi chmurami, jakby się wzdrygało patrzeć na widok mającego nastąpić okrucieństwa, zawitali do jego domu Indjanie, przyjęci jak zwykle z wszelką gościnnością. Zdrajcy udawając wdzięczność, zaofiarowali pułkownikowi niektóre swe robótki, bardzo dobrze udane, mówiąc, iż gdy odśpiewają *bakururu* (1) na jego cześć, to mu oddadzą wszystko, co tylko posiadają. I zaczęli śpiewać. Wnet atoli przerwali, a kacyk zwrócił się do gospodarza z temi słowy: „Abyś lepiej odczuł piękność naszego śpiewu, połóż się na sieci."

Usłuchał nieostrożny pułkownik i na nowo rozpoczęły się wyjące nucenia. Ale naraz na znak kacyka śpiew się urywa, Indjanie chwytają za maczugi i cała rodzina ginie w okrutny sposób. Tylko jedna służąca, która krótko przed napadem wyszła była z domu, ocalała. Gdy za powrotem do domu zobaczyła tragiczną scenę, zawrzała gniewem i z odwagą, przewyższającą jej siły, rozpędziła drapieżne zwierzęta w skórze ludzkiej. Ta bohaterka, przywiązana do tego domu, pogrzebała śmiertelne szczątki pomordowanych i uszła do okolicznych osad, roznosząc wszędzie wieść o tym ponurym wypadku.

Dzicy z obawy przed zemstą, umknęli również daleko, ale dowiedziawszy się, że o odwecie niema ani mowy, wrócili na miejsce zbrodni i zburzyli całą farmę. Zadowoleni ze swego dzieła, udali się do innych Indjan, uczęszczających do domu pana *Klarismondo*, innego uczciwego farmera w owych bezludnych okolicach.

Pan ten, już niedowierzający, obchodził się z tymi gośćmi z jak największą wspaniałomyślnością, nie spuszczając atoli z oka niebędnej strzelby. Ach, do jakiejże wściekłości nie dochodzi człowiek, wyrosły w ciemnocie i barbarzyństwie, nieznający wiary świętej!

Indjanie spotkawszy niedaleko domu kilka osób, przestraszyli je i zabili, a potem zaczęli niszczyć plantacje. Pewnego wieczora dotarli do samego progu i zażądali różnych rzeczy; zaspokojono ich pragnienia natychmiast, owszem pan Klarismondo wskazał im *rancho*, w którem

(1) Dziki taniec.

mogli nocować. Weszli tam; wszakże rano, podzieliwszy się na trzy oddziały, niegodziwcy otoczyli dom swego dobroczyńcy i na znak kacyka rzucili się nań rzekomo dlatego, że im odmówiono *rapadury* (1). Cała rodzina stała się naraz przedmiotem pocisków napastników, ale Klarismondo, brat jego i jedna dziewczyna, wszyscy uzbrojeni, stawili dzielny opór i zdołali rozpędzić Indjan.

W tym niespodziewanym napadzie p. Klarismondo stracił swego małego braciszka, więc po skończonej walce zebrał drugich braci koło grobu, do którego miano spuścić zwłoki dziecka, i wskazując na małe szczątki, rzekł: „Pomścimy straszną śmierć naszego niewinnego brata.“ I poprzysięgli to, łącząc swą broń na grobie malca.

Istotnie Klarismondo z braćmi i innymi ludźmi popłynął w górę rzeki *Araguaju* w trop za nieszczęśliwymi Indjanami, którzy, spłoszeni, już byli opuścili rzeki *Kajapuzynho* i *Bonito*. Po kilkudniowem wiosłowaniu spostrzegli Indjanina, który z chyżością przedostawał się przez rzekę, a dopadłszy brzegu północnego, skierował się ku aldei.

Klarismondo pozwolił mu się nieco oddalić, potem jednakże nie tracąc go z oka, idzie przez sześć godzin w ślad za nim, aż zobaczył, iż wszedł do pewnego szałasu. Było to o godzinie 10ej wieczorem. Klarismondo przenocował w odległości 200 metrów od *aldei* wraz ze swoimi ludźmi, a o czwartej rano napadł na nią. Nieświadomi tego, co się działo, Indjanie, zapomniawszy o broni, wylecieli z domów i zebrali się w *bahyto*, gdzie się na nich posypał grad kul, od których polegli wszyscy, prócz jednego, który naostatku padł od miecza. Potem oddział Klarismondy ruszył dalej.

Dwaj Indjanie, łowiący ryby, niebacznie zdradzili położenie drugiej aldei, składającej się z 18. *ranchos*, które również pewnego poranku zostały napadnięte. Nieprzerwany ogień karabinowy płoszy Indian, którzy porzucając broń, uciekają na łeb na szyję. Widząc jednakże, że nie sposób uchodzić, wracają się i zbierają w *bahycie*. Stary jakiś kacyk próbuje uszykować swych ludzi ogłupiałych z przestrachu, i przykłada rękę do łuku; ale gdy jego strzała świsnęła w powietrzu, strzał karabinowy powalił go na ziemię. I ta *aldea* została prawie doszczętnie zniszczona.

Jeszcze nie zadowolony tem Klarismondo, pchnął swój orszak na dalekie wybrzeża rwącego *Araguaju*, a doszedłszy do rzeki *Garcy* (Garci), wsiadł do kanoy, by popłynąć w górę. Niezadługo pokazało się 60 Indjan; i tych powitał szybki ogień karabinowy, od którego uszło cało tylko 10 Indjan, którzy zostawili swych towarzyszów drgających w krwi i śmiertelnych konwulsjach na ziemi. Tym trzecim rozlewem krwi Klarismondo zaspokoił swą żądzę zemsty i przeniósł swoją siedzibę na trzy staje od *Redzistro* (Registro). Są to rzeczy, które dreszczem przejmują, ale zarazem w sposób namacalny dowodzą, iż przed każdym innym cywilizatorem potrzeba, aby się wysunął naprzód kapłan Chrystusowy. Indjanie cofnęli się w głąb borów. Gdy wieść o tych wydarzeniach gruchnęła między lasami, *Bororowie* porzuciwszy chętkę dalszych walk, cofnęli się o wiele stai w środek lasów dziewiczych.

Jednakowoż jeden z kacyków, imieniem *Manuel Rigado*, wysłał swoich ludzi ku linii telegraficznej, oznaczającej jednocześnie drogę między stolicą Stanów a Kujabą, celem robienia nowych zasadzek na cywilizowanych. W samej rzeczy przebywanie tych bogatych okolic stało się odtąd rzeczą trudną, a z drugiej strony po tylu i tak okropnych starciach i rozbojach, strach owładnął farmerzami tych bogatych i bujnych ziem od Kujaby aż do stolicy stanu *Gojaz*. Sama linia telegraficzna była już zagrożona, gdy naczelnik okręgowy, Dr. *Ramalho*, w imieniu rządu a dla dobra i pokoju licznej ludności, wystawionej na nieustanne napady Indjan, zażądał naszej interwencji, aby rozpocząć dzieło ze wszech miar humanitarne i niezbędne, — cywilizowania Indjan. Wzruszeni tkliwemi słowami Dra. *Ramalhy*, a więcej jeszcze nędznem położeniem, w jakiem się znajdowali ci biedni dzicy, ruszyliśmy w sierpniu 1901 roku w kierunku wschodniej części puszcz mattogroskich do rozległej okolicy, po większej części zamieszkanej przez *Bororów*, aby zbadać teren i wybrać miejsce odpowiednie pod stację kolonialną, podczas gdy inna komisja zwiedzała obszary i rzeki południowego wschodu celem poznania dzikich tamże koczujących.

W roku 1902 misjonarze ks. Bosko osiedlili się między *Koroadami* i *Kajapami*, poróżnionymi między sobą zażartą nienawiścią. Na owych osamotnionych łanach kapłani Chrystu-

---

(1) Rapadura jest to cukier nierafinowany (surowy) domowego wyrobu.

sowi prosili Boga, aby wstrzymał zagładę nieszczęśliwych dzikusów, jaką im gotowali cywilizowani. Prośby ich zostały wysłuchane. W kwietniu tego roku uboga kapliczka, pod lazurowem sklepieniem niebios zbudowana, widziała jeszcze nad sobą burzliwe chmury zagrażające jej istnieniu. Była to horda dzikich, posuwająca się do świata cywilizowanego. Po kilku dniach śmiertelnego naprężenia groźne chmury znikły, a misjonarze ku niewysłowionej radości serca znaleźli przed sobą niezliczone mnóstwo Indjan, którzy przychodzili ich odwiedzić. Po krótkim interwiewie między misjonarzami a naczelnikami Indjan, przedłożono i zawarto układy, które oznaczały pokój pomiędzy dwoma wspomnianemi rasami.

Założenie aldei w Taksos i osady misyjnej Najśw. Serca. — Po zawartej zgodzie między *Bororami* a *Kajapami*, założono wśród nich po prawej stronie *Rio das Mortes aldeję* bororską. Indjanie pierwsi zbliżyli się do misjonarzy, a następnie byli heroldami pokoju po innych *aldejach*. Niektórzy przyrzekli byli pozostać z misjonarzami, ale stało się to dopiero w czerwcu roku 1902, po ośmiomiesięcznych odwiedzinach i oględzinach. W ten sposób została założona osada Najsłodszego Serca Jezusowego, dziś tak pięknie rozwinięta.

W tym to czasie *Kajapowie* zaczepili *Bororosów*, aby powetować kradzież dokonaną na nich przed kilku laty; zostali jednak odparci ze stratą trzech ludzi i wielu rannych, podczas gdy po stronie *Bororosów* było tylko trzech rannych. Natychmiast zawieszono walkę między oboma rywalizującymi szczepami, a odtąd aż do naszych dni (24. maja 1906 roku) już nie słyszano o żadnych bójkach. Oby ten okres pokoju trwał aż do całkowitego odkupienia tych biednych braci naszych.

Zakończenie. — Na tem kończy się *część pierwsza* mej pracy i, jak się spodziewam, skończył się na zawsze okres barbarzyństwa.

Aż dotąd *Bororosowie* okazywali się zawsze miłośnikami wolności i niepodległości; zostali po kilka razy pobici, ale podbici nigdy. Skłonni do rozwiązłości i zbytku, ulegali cywilizowanym tylko dla przemocy lub interesu. Stateczni w swoich zapatrywaniach i zwyczajach, niewzruszeni w postanowieniach a stanowczy w poświęceniach, których wymaga samoobrona, są niezmiernie przywiązani do życia i jego rozkoszy zwierzęcych. Atoli doświadczenie pokazało nam, iż nadają się do głębokiej poprawy swych obyczajów, a są przytem nadzwyczaj dowcipni i skłonni do przemysłu.

Zawsze dziwna była siła odnawiająca religji Chrystusowej, która od początku musiała zakładać podwaliny państwa cnoty i równości wśród państwa zepsutego, które paliło kadzidło Wenerze a liczyło więcej niewolników, niż wolnych. Oby ta religja zapanowała nad *Bororami* i wszystkiemi dzikiemi hordami, które zamieszkują niezmierzone lasy okoliczne.

Ks. Antoni Malan.

(Ciąg dalszy nastąpi).

JAMAJKA
(WIELKIE ANTYLE).

Trzęsienie ziemi. — Osady Salezjańskie. — Kingston.

Bushy Park, 20 stycznia 1907.

Najprzewielebniejszy Księże Rua!



Znowu chłosta Boża! Cięższa niż kiedykolwiek, boleśniejsza niż przed trzema laty, gdy niszczący cyklon przeszedł po naszej wyspie, poorał ją, osady i plantacje z ziemią zrównał. Tą razą nie wiatry szalały, ale moce podziemne targnęły się na nasze życie i mienie.

W zeszły poniedziałek, 14. stycznia, odmawiałem w pokoju pacierze kapłańskie, gdy o wpół do czwartej po południu coś zahuczało głośno pod domem, podrzuciło go i trzęsło nim, jak gdyby go chciało poszarpać i w gruzy obrócić. Zadrżałem, rzuciłem się ku schodom i wypadłem na podwórze, gdzie spotkałem ludzi przerażonych, osłupiałych, krzyczących: „Trzęsienie ziemi, Ojcze, trzęsienie ziemi!“

Dom i podwórze objęte były ruchem falowym tak silnym, że na serjo obawialiśmy się, aby się ziemia nie rozstąpiła i nie pochłonęła ludzi i budynków. Przestraszone zwierzęta biegały na oślep, wyjąc i drząc się straszliwie. Wszystko się chwiało i trzeszczało. Naraz wysoki, murowany komin fabryczny, który przez sto lat opierał się zwycięsko burzom, deszczom, piorunom, pochylił się i runął na dom przyległy, z którego dopiero co byli wyszli wszyscy robotnicy. Jaki trzask, łoskot, jakie zniszczenie! Od gruzów, od kupy cegieł, drzewa, wapna, żelaza, z chmury kurzu uciekali ludzie o bladych twarzach, krzycząc w niebogłosy.

U nas na szczęście nie było żadnej ofiary w ludziach; nawet rany nikt nie odniósł, co z wdzięcznością przypisuję Boskiemu Sercu Jezusowemu i Najśw. Wspomożycielce Wiernych.

Za to ucierpiały trochę mury domu mieszkalnego, w których gdzieniegdzie potworzyły się szpary. Tynkowanie odpadło niemal zupełnie. Dom zburzony przez komin nie przedstawiał wielkiej wartości, więc choć został prawie doszczętnie zniszczony ze wszystkiem, co w nim było (skład trzciny cukrowej i maszyny rolnicze), szkody nie są największe. — Zupełnie cało wyszli nasi współbracia w *Reading*.

Od chwili katastrofy słyszymy jeszcze teraz podziemne huki, którym towarzyszą często lekkie wstrząśnienia. Ludność obawia się czegoś gorszego od nieszczęść z 14. stycznia. Dałby Bóg, aby do tego nie przyszło. Może się na tem urwie szereg plag, któremi wyspa w ostatnich czasach trapiona była, a z których podczas czteroletniego pobytu na niej zapamiętałem jako najgroźniejsze: czteromiesięczną posuchę, huragan wywracający domy i drzewa, groźny wylew a w końcu trzęsienie ziemi.

Wczoraj byłem z wizytą u OO. Jezuitów w *Kingston*, stolicy Jamajki. Było to do niedawna wesołe miasto, o charakterze nowoczesnym; dziś, jak Ojcu z dzienników wiadomo, pozostały po niem zwaliska i gruzy. Ani jeden dom nie został oszczędzony. Ludność żyje i sypia w podwórzach, na ulicach, w ogrodach pod gołem niebem, lub w nędznych namiotach. Temu losowi musieli się poddać także OO. Jezuici. Od Administratora Apostolskiego O. Collins dowiedziałem się, że co najmniej 2000 osób zginęło pod gruzami; wydobyto dopiero połowę zwłok. Szkody w samych budynkach kościelnych i szkolnych, zależnych od Administratora Apostolskiego, wynoszą 25000 funtów szterlingów, czyli 500.000 koron.

Chcieliśmy w tym roku zaprowadzić różne ulepszenia techniczne w osadzie rolniczej w *Bushy Park*, ale trzęsienie ziemi zniweczyło nasze plany. Musimy się więc z tą myślą pożegnać i silić się, aby przynajmniej teraźniejszy stan utrzymać. Niech się dzieje wola Boża! Tysiące rodzin mają się gorzej od nas, bo są bez dachu i chleba. Niech się P. Bóg nad niemi zlituje!

Ojcze Najdroższy, racz się pomodlić za nieszczęśliwą Jamajkę, na której wielka praca czeka misjonarzy katolickich.

Najniższy sługa w Chr. P.
Ks. Fryderyk Barni.



EUROPA.

OŚWIĘCIM. — Chwila z życia zakładowego. — *Servite Domino in laetitia!* — Karnawał! — To jakaś czarująca istota, która przemawia łechcąco do podniebienia, do swawoli i filuterji! — Każdy młodzik wygląda karnawału z tęsknotą, by puścić wodze swej żywości i pobawić się — użyć uświata, póki służą lata.

I w naszym Zakładzie go czekano. Czekał go niejeden student, który lubi uczyć się, gdy akumulatory odmawiają prądu żarówkom (1), czekał go rzemieślnik pracowity, każdy obiecywał sobie przez ten błogi czas stosować się w całej pełni do przysłowia z czasów króla Sasa... Niejeden atoli, zwłaszcza z tych, którzy zaledwie nauczyli się *mensa, mensae*, lub mozoli się nad kołkiem do zbijania desek, albo nad szczeciną, która się nie chce wkręcić — pytali z ciekawością: ,,A cóż to za jeden ten karnawał?''

Dla zaspokojenia ciekawości tych malców i niejednego może z moich Czytelników, zbaczam na chwilkę z drogi i wystawiam w krótkości metrykę karnawałowi. Karnawał, to wyraz złożony z łacińskich *caro* i *vale*, to znaczy: ciało, bywaj zdrowe. Początkowo we Włoszech był to czas poświęcony zabawie i wszelkiego rodzaju rozrywkom, trwającym od uroczystości Trzech Króli do środy popielcowej. Później nazwano karnawałem ostatnie mniej więcej ośm dni przed pomienioną środą. Formy i zwyczaje karnawału pochodzą niewątpliwie z czasów pogańskich. W wiekach średnich polegał karnawał szczególnie na pijatykach i tłusto przyprawianych ucztach. U nas nazwano ten czas *mięsopustami* a ostatnie dni wyszczególniono osobnemi nazwami, jako to: tłusty czwartek, zapustna (smalcowa!) niedziela, ostatni poniedziałek i błękitny, błazeński, ostatni wtorek czyli *zapusty*. W naszych czasach u większej części narodów polega karnawał na maskaradach, balach maskowych, tańcach. We Włoszech jest on uroczystością ludową, w której wszystkie stany biorą udział z wielką paradą, zwykle pod gołem niebem. Sławne były weneckie karnawały, ślicznie odmalowane przez Malczewskiego. W dawnej Polsce były zapusty suto obchodzone: kuligi, maski, reduty, przebierania się itd.

Nadszedł więc ten upragniony karnawał. Młodzieży aż serce rosło. W *niedzielę* wieczorem puściliśmy się w świat, zwiedziliśmy Rzym oraz najsławniejsze kościoły i budowle europejskie, widziane w udanych projekcjach kinematografu.

(1) Sale zakładowe oświetlone są elektrycznością, która niekiedy nie dopisuje.

Poniedziałek przyniósł studentom taką niespodziankę, że klas nie odpieczętowano. Sprytniejszych zaproszono natomiast do przygotowania wieczornego przedstawienia, inni wertowali Vernego lub tym podobne poważne dzieła; tylko ten i ów spojrzał po kilka razy do Kranza lub Ćwiklińskiego. — Po południu *lectio brevis* (prawdę mówiąc: *brevissima, fere nulla)* a pod wieczór teatrzyk. Pełna humoru, rozigrana farsa p. t. *Adwokat bez butów* wypadła tak klasycznie, że młodzież boki sobie rwała ze śmiechu. Po niej łatwa pantomina w tym samym guście. — Po modlitwach wieczornych—morały. Przełożony wspomniał, czego się to ludzie podczas zapust dopuszczają. Wielu nie umie rozłączyć rzeczy tak odrębnych, jak zabawa i obraza Boża. Wzywał też wychowanków, aby się bawili wesoło, ale w Panu, gdyż zabawa jest tylko wtedy prawdziwą rozrywką, gdy łączy się z sumieniem spokojnem i łaską Bożą. Zachęcił wreszcie, aby dla wynagrodzenia za krzywdy wyrządzone Bogu, przystąpili jak najliczniej do Komunji św.

Chmurny był *wtorkowy* poranek, bo ku powszechnemu zaniepokojeniu gruchnęła wieść, że profesorowie postanowili powetować wczorajsze straty. Słońce pogody karnawałowej zabłysło nad zakładem dopiero wtedy, gdy jednych zawołano do strojenia dud różnego kalibru, drugich zawezwano, aby siły tchu swego zmierzyli na instrumentach, innych poproszono do ostatnich prób na scenie. Tylko niedobitki musiały siedzieć w studjum, biadając nad ograniczeniem tego, który książki wymyślił; niejeden też miasto się uczyć lub przynajmniej czytać, patrzał bezmyślnie między rządki lub sporządzał sobie ukradkiem pod ławą sakwę na obfite żniwo.

Minęło południe i nadszedł czas rejwachu. Przedewszystkiem odbyło się tłuczenie garnków. Na środku podwórza wisi garnek wypełniony łakociami. Wylosowanemu podają tykę do ręki i zawiązują oczy. Po długich korowodach i obrotach, wspierany i zwodzony nawoływaniami kolegów, dociera biedak zziajany do garnka. Ze wszystkich stron słychać teraz krzyki: ,,Stój! w prawo! prosto! wyżej! bij!" W tym chaosie ciemny tułacz traci do reszty głowę, szuka, kręci się na wszystkie strony, aż namacawszy coś drągiem, przechyla go z rozmachem w tył. I oto

Conticuere omnes, intentique ora tenebant
(Naraz umilkli wszyscy, rozdziawili gęby),

wyciągając ręce do garnka i czekając, aż się rozsypie pod potężnym ciosem. Wtem huk! Jak kula armatnia pęka garnek, siejąc wokoło figi, orzechy, jabłka, pomarańcze. Co się w tej chwili dzieje, tego się, zacny Czytelniku, sam domyślisz. Niejeden garnek uległ takiemu losowi, nim zabrano się do innych zabaw, do wyciągania ustami pieniędzy z mąki, do biegania z zapalonemi świeczkami, do różnych figli i popisów.

Wieczorem cóż, jak nie przedstawienie? Prolog był może trochę naciągnięty, ale bardzo oklaskiwany. W uroczystym pochodzie przybywa uosobiony karnawał z przepychem masek, gier, zabaw, tańców. Niestety wybiła już dla niego fatalna godzina: post wysyła przed sobą swego *cudotwórczego lekarza*, który zgładza ze świata sprawcę tylu chorób i nieszczęść. Ten *cudotwórczy lekarz*, to tytuł i treść pierwszej farsy: druga, napisana również bez pretensji literackich, dla zabawy, nosi nagłówek: *Ponętna maskarada.* Uzupełniono program dwiema pantominami, które dopełniły miary wesołości i śmiechów. — Nie wiem, jak inni pacierz wieczorny zmówili: jam ledwo skończył i czemprędzej pobiegłem spać. Otrzeźwiałem trochę dopiero w łóżku, gdym sobie przypomniał, że jutro przebudzę się (o zgrozo!) w poście i usłyszę: *Pamiętaj, człowieku, żeś proch...*



Orkiestra salezjańska w Bahii (Brazylia).

DASZAWA. — Otrzymujemy pismo następujące: ,,Wielebny Księże Redaktorze! Polski nowicjat Salezjański wre pełnią życia! Z jakąż radością donoszę o tem Księdzu Dobrodziejowi! Po tylu latach bolesnego oczekiwania, dobry Bóg pozwolił mi choć na starość pocieszyć się tym tak mi drogim rozsadnikiem duchownym na polskiej ziemi. Stąd to mają się rozchodzić, i będą, da Bóg, rozchodziły się walne szeregi mężnych bojowników za sprawę Pańską. Tylko środków, środków potrzeba niezbędnie, by dzieło to należycie się rozwijało. Niedawno przeszła nad nami taka kryzys, że chleba nie stało, bo składy mąki w Stryju już kredytować nie chciały, a z piasku chleba upiec nie można!

Dziś brak tu jeszcze porządnej sypialni, brak odpowiedniego refektarza, bo obecny zaczyna być na dobre za małym.

Może Ksiądz Redaktor swemi ciekawemi *Wiadomościami* zapuka do serc Szanownych Pomocników i Pomocnic, by księdza dyrektora nowicjatu wraz z jego alumnami poratowali w biedzie, a alumni obiecują z całego serca modlić się za łaskawych Dobrodziejów.

Były tu dwie bezpośrednio po sobie następujące uroczystości: jedna, tytuł kościoła, święto *Przenajśw. Rodziny;* w następną zaś niedzielę obchodziliśmy św. *Franciszka Salezego;* obie przeszły pobożnie, wesoło i gwarnie. Wieczorem mieliśmy huk gości, bo alumni dawali przedstawienie *Syn marnotrawny* i coś jeszcze, a to zwykle przyciąga do domu całą okolicę. Zaznaczyła się przytem piękna solidarność obu tutaj egzystujących obrządków. Ksiądz proboszcz bowiem miejscowy odprawił w naszym kościele mszę św.; chór jego odśpiewał rzewne, ruskie melodje, z których najpiękniejsza — owa tak prosta, a tak wszystko w sobie zawierająca modlitwa błagalna: „*Hospody pomyłuj!*" — (Panie, zmiłuj się!) — Czegoż komukolwiek z nas potrzeba, jak nie zmiłowania Bożego?! A skoro ono będzie, to i wszystko będzie; bo skoro będziemy mieli Boga za sobą, nikt, kto będzie przeciw nam, nas nie przestraszy.

Obecnie odbywają się egzamina; i te idą wesoło, bo idą dobrze. Oto obrazek życia tutejszego. A teraz proszę przyjąć, Księże Redaktorze, wyrazy szczerej przyjaźni.

Daszawa (o. p. Gelsendorf, Galicja), 8. lutego 1907.

Confrater i sługa

Ks. J. K.

LUBLANA. — W pięknem wydaniu wyszedł pierwszy numer *Wiadomości Salezjańskich* w języku słowieńskim p. t. **Salezijanska Poročila**, *glasilo salezijanskich sotrudnikow.* Rozmaitością treści, formą zewnętrzną, lekkim i pięknym językiem pismo wywiera wrażenie bardzo dodatnie. Czytelników ma siedm tysięcy, a więc, jak na początek i na liczebną siłę narodu słowieńskiego, bardzo wielu. Niech P. Bóg błogosławi temu zbożnemu przedsięwzięciu!

LISBONA (Portugalja). — Dnia 26. stycznia zajechała do naszego zakładu św. Józefa w Lisbonie królowa portugalska *D. Amelia*, przyjęta oklaskami i dźwiękami marsza królewskiego. Po odwiedzeniu Przenajśw. Sakramentu w kaplicy zakładowej, wysłuchała powitalnej mowy ks. inspektora Cogliolo i wiersza zadeklamowanego przez jednego z wychowanków. Wizytacja zakładu nie była oficjalna i zimna, ale serdeczna, poufna. Królowa wszędzie weszła, o wszystko pytała i robiła tak trafne uwagi i tak się wyrażała o wychowaniu i kościele, o biednych, o sierotach, o robotnikach, że budowaliśmy się jej słowami i zauważyliśmy, jak słusznie lud lisboński zwie ją *Rainha Santa*, świętą królową. Z macierzyńską tkliwością zbliżyła się do łóżka dwóch wychowanków złożonych chorobą; wiele biednych dzieci uściskała i ucałowała. Dłuższy czas zatrzymała się z chłopcami, którzy co niedzielę chodzą do kaplicy pałacowej śpiewać na mszy królewskiej, a najwięcej zajmowała ją praca młodych terminatorów. Odchodząc, pochwaliła wzorowe pod każdym względem urządzenie zakładu, złożyła hojną ofiarę i w książce pamiątkowej napisała te słowa: *Życzę powodzenia i rozwoju tej tak zbawiennej instytucji!*

AMELIA, KRÓLOWA.

FAENZA (Włochy). — Zjazd dla zakładania kaplic świątecznych, o którym pisaliśmy w zeszłym numerze, a który odbędzie się tutaj od 25. do 28 kwietnia, ma na porządku dziennym następujący program:

Część pierwsza.

1) Zakładanie — Organizacja i personał kaplicy świątecznej.
2) Nabożeństwa — Sakramenta św. — Kazania i katechizm — Popisy katechizmowe i rekolekcje — Stowarzyszenia i Kółka religijne.
3) Karność — Nagrody — Zabawy — Wypożyczalnie książek — Nauka muzyki — Kółka dramatyczne i gimnastyczne.
4) Kaplice w dni powszednie — przed i po szkole — Patronaże — Szkoły wieczorne — Biura pośrednictwa pracy.

Część druga.

1) Tworzenie — organizacja i personał szkół religji.
2) Szkoły religji dla terminatorów — dla uczni szkół średnich — dla uczni wyższych zakładów naukowych.
3) Karność i nagrody.
4) Odczyty z zakresu wykształcenia religijnego.

Episkopat włoski nadesłał do komitetu zjazdu cenne listy zachęcające i pochwalne, życząc kongresowi jak najliczniejszego udziału pedagogów i gruntownego przerobienia materjału — a doniosłej sprawie religijnego wykształcenia dzieci, rozwoju i pomyślności. Pomiędzy innymi zabrali w tej sprawie głos kardynałowie Svampa, Boschi, Ferrari, Richelmy i. t. d.

AMERYKA.

CHUBUT (Patagonja). — Czytamy w piśmie *Cruz del Sur*, że misjonarz nasz ks. Jan Muzio odbył uciążliwą wycieczkę apostolską. w której dotarł aż do *Kalfukir.* Po drodze katechizował napotkane rodziny, udzielając dwadzieścia chrztów, bierzmując i dając śluby. Przyjmowano go wszędzie z wielkiem uszanowaniem.

— Ks. Bernard Vacchina, przełożony stacji misyjnych w terrytorjum Chubut, postanowił osadzić kilku księży w rosnącej miejscowości *Trelew.* Ponieważ budowa kościoła w tem miejscu bardzo się leniwie podnosi, zostanie tymczasem wzniesiona dla celów kościelnych obszerna sala a przy niej mieszkanie misjonarzy.

STANLEY (Wyspy Falklandzkie). — Na wyspach Falklandzkich, położonych wśród Oceanu Atlantyckiego na wschód od Patagonji południowej, pracują już od lat synowie ks. Bosko. W ostatnim czasie powstała tam myśl sprowadzenia Sióstr Wspomożycielki Wiernych i powierzenia im wychowania mło-

dzieży żeńskiej. Aby zebrać potrzebny fundusz na zakład, umyślono urządzić *bazar dobroczynny*. Projekt został przyjęty z zapałem przez ludność (przeważnie protestancką). Przy otwarciu bazaru gubernator p. Allardy wygłosił mowę o dobroczynności Sióstr katolickich i zakładów salezjańskich.

BAHIA (Brazylja). — Z nadzwyczajnemi przeszkodami walczyć tu musiał zakład salezjański o swój byt i utrwalenie. Pierwsza budowa rozpoczęta 1899 r. a z różnych przyczyn nieukończona, uległa zniszczeniu przez deszcze i wiatry. Po raz drugi wzięto się do wznoszenia gmachu na skalę dość wielką. Miano przy wyborze planów względ na warunki trwałości i wymagania nowoczesnej hygieny i celu budynku. Pora, w której rozpoczęto prace, nie była najpomyślniejsza. Miasto *Bahia* przechodziło wtedy ciężkie przesilenie ekonomiczne, którego odbiciem była nędza w istniejących już zakładach dobroczynnych. Kto wie, czy nie byłoby przyszło do powtórnego krachu, gdyby nie starania arcybiskupa, artykuły i wiersze głośnej poetki brazyliskiej Amelji Rodriguez i wysiłki komitetu, który z żelazną wytrwałością urządzał na ten cel przedstawienia, koncerty i zabawy. Wreszcie 16. grudnia z. r. gmach został poświęcony i oddany księżom Salezjanom.

GUALAQUIZA (Ekwator). — Z artykułów, które od pewnego czasu ogłaszamy pod nagłówkiem: *Z dziejów misji wśród ekwatorskich Kiwarosów*, mieli Czytelnicy sposobność poznać, jak dziwny i trudny jest charakter narodowy tych plemion, zamieszkujących wschodnie puszcze Ekwatoru. Ewangielizacja napotyka tam na trudności, których sami misjonarze pokonać nie mogą. Z tego powodu przełożony misji, ks. Franciszek Mattana, znany wśród dziczy pod imieniem *Padre Francisco*, wysłał dłuższe sprawozdanie do rządu ekwatorskiego, które przedstawia stan misji, stanowisko rządu wobec Indjan i żąda większego poparcia dla sprawy ewangielizacji i cywilizacji. Przedewszystkiem zwraca misjonarz uwagę na to, że w interesie republiki leży jak najrychlejsze pozyskanie tych ogromnych obszarów dla postępu, a więc rząd powinien wspierać usiłowania skądinąd w tym kierunku podjęte, budować drogi, zakładać szkoły rolnicze i bez uciekania się do gwałtów dbać o bezpieczeństwo białych i misjonarzy. Piękny list, przetłumaczony z dzienników ekwatorskich, zamieścimy w następnym zeszycie.

Z NASZEGO SKARBCA

czyli odpusty, jakie Pomocnicy Salezjańscy zyskać mogą w miesiącu maju.

POMOCNICY Salezjańscy, którzy wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunję św. nawiedzą nabożnie jaki kościół lub kaplicę publiczną i tam na intencję Ojca św. się pomodlą, zyskać mogą w miesiącu maju następujące odpusty:

A. — *Zupełne:*

a) W uroczystość odnalezienia św. Krzyża (3 maja).

b) » Wniebowstąpienia Pańskiego (9 maja).

c) » Zesłania Ducha św. (19 maja).

d) » Trójcy Przenajświętszej (26 maja).

e) » Bożego Ciała (30 maja).

f) W dzień, w którym się wpiszą do Związku Pomocników.

g) Raz w miesiąc w dniu przez każdego dowolnie obranym.

h) » » w dniu, w którym odprawią ćwiczenie t. z. dobrej śmierci.

i) W dniu, w którym się po raz pierwszy poświęcą Najśw. Sercu Jezusowemu.

k) Ilekroć przez ośm dni z rzędu odprawią rekolekcje.

l) W godzinę śmierci, jeśli wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunję św., lub co najmniej wzbudziwszy akt skruchy, ustnie lub przynajmniej sercem wezwą nabożnie Najśw. Imienia Jezus.

B. — *Odpusty stacyjne.*

Pomocnicy, zwiedzając jakikolwiek kościół lub kaplicę publiczną i modląc się tamże na intencję Ojca św. zyskać mogą:

a) W Wniebowstąpienie Pańskie, wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunję św.: *odpust zupełny.*

b) W wigilję Zielonych Świąt: *odpust 10 lat i tyluż kwadragen.*

c) W uroczystość Zielonych Świąt i we wszyskie dni oktawy aż do soboty włącznie: *odpust 30 lat i tyluż kwadragen.*

C. — *Odpusty Cząstkowe:*

a) Ilekroć odnowią poświęcenie siebie samych Najśw. Sercu Jezusowemu: *odpust siedmiu lat i tyluż kwadragen.*

b) Ilekroć uczyć będą bliźnich służyć do Mszy św.: *odpust siedmiu lat i tyluż kwadragen.*

c) Ilekroć wzbudziwszy w sobie conajmniej serdeczny akt żalu, spełnią jaką praktykę nabożną lub jaki uczynek miłosierny: *odpust 300 dni.*

d) Ilekroć z sercem conajmniej skruszonem wymówią akt strzelisty: *Marjo, Wspomożenie Wiernych, módl się za nami: odpust 300 dni.*

Wszystkie powyższe odpusty, z wyjątkiem odpustu zupełnego w godzinę śmierci, można ofiarować za dusze w czyśću cierpiące.

D. — *Przywileje:*

a) Wszystkie Msze św., które jakikolwiek kapłan odprawi za zmarłych Pomocników, są zawsze i wszędzie uprzywilejowane.

b) Pomocnicy, którzy są kapłanami, mogą *w trzy dni* każdego tygodnia korzystać z indultu ołtarza uprzywilejowanego osobistego, jeżeli nie uzyskali jeszcze podobnego indultu na inny dzień tygodnia.

Uwaga. — Aby dostąpić powyższych *odpustów*, trzeba należeć do Związku Pomocników i odmawiać codziennie *Ojcze Nasz, Zdrowaś Marja* i *Chwała Ojcu* na intencję Ojca św. z westchnieniem: *Święty Franciszku Salezy, módl się za nami!*

(Dekrety św. Kongregacji Odpustów i Relikwji z 1. 10. 1904 i z 8. 5. 1906 r.).



NABOŻEŃSTWO
do Wspomożycielki Wiernych.

Jesteśmy przekonani, iż w bolesnych wydarzeniach bieżących czasów nie pozostają nam inne pociechy, jak tylko niebieskie, a między temi pierwsze miejsce zajmuje możne pośrednictwo Tej błogosławionej, która w każdym czasie była Wspomożycielką Chrześcijan. PIUS X.

IV. — Ustanowienie święta Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych.

Dwa powyższe i wiele innych jeszcze przesławnych a dla całego chrześcijaństwa niesłychanej doniosłości zdarzeń historycznych, przysparzających chwały Najświętszej Dziewicy, wzbudziły już były dawno wśród wiernych żywe pragnienie, by Kościół wyraźnie wdał się w sprawę i oznaczył dokładnie sposób, w jakiby można oddawać cześć Przenajświętszej Bogarodzicy jako **Wspomożycielce Wiernych**.

Pod pewnym względem Kościół dawno już był zaprowadził a przynajmniej dozwolił nabożeństwo pod powyższem wezwaniem, gdyż zatwierdził bractwa, które tu i ówdzie się zawiązały, i licznymi odpustami uposażył modlitwy, które Najśw. Pannę wielbiły jako **Wspomożycielkę Wiernych**.

Brakowało tylko jeszcze w kalendarzu kościelnym ściśle oznaczonego dnia, w którymby oddawano Najśw. Pannie Marji cześć pod powyższem wezwaniem, nie było jeszcze w Kościele święta z modlitwami, Mszą św. i oficjum zatwierdzonem przez prawowitą władzę duchowną. Aby Papieże na ustanowienie podobnego święta ostatecznie zezwolili, na to potrzeba było jeszcze jakiegoś nadzwyczajnego zdarzenia, które też niedługo dało wiernym na siebie czekać.

Cudowny sposób, w jaki Ojciec św. Pius VII został uwolniony z niewoli, w jakiej go przez długi czas był trzymał świecki tyran, — oto okoliczność, która się stała najbliższym powodem do ustanowienia uroczystości Najśw. Marji Panny jako **Wspomożycielki Wiernych**.

Ostatni żelazny despota, cesarz francuski *Napoleon I*, na początku ubiegłego stulecia w różnoraki sposób uciskał był Ojca św. Piusa VII, jużto grabiąc mu dochody i przywłaszczając sobie wogóle własność Kościoła, jużto rozpędzając i więżąc kardynałów i biskupów.

Nie poprzestając na tem, domagał się jeszcze od Papieża różnych przywilejów i szczególnych praw, na które tenże żadną miarą zezwolić nie mógł. Na odmowną odpowiedź Piusa VII odpowiedział Napoleon gwałtem i świętokradztwem. Ojca św. uwięziono we własnym pałacu i razem z sekretarzem stanu, kardynałem Pacca, uprowadzono przemocą do *Savony*, miasta włoskiego leżącego w Liguryi nad Morzem Śródziemnem, gdzie od rządu i jego służalców prześladowany, lecz od mieszkańców miasta a w ogólności od wszystkich wiernych zawsze jak największą czcią otaczany, Ojciec św. przepędził pięć lat w uciążliwem więzieniu. Ponieważ jednak i tym razem stwierdziła się owa znana i powagę licznych wieków za sobą mająca prawda, że na każdem miejscu, na którem przebywa Papież, przebywa również głowa widzialna Kościoła, zatem i obecnie wszyscy prawowierni katolicy zwrócili się ku chwilowemu miejscu pobytu Piusa VII i skupili się duchowo koło dostojnej jego osoby, tak iż Savona stała się jakby drugim Rzymem.

Oznaki wszakże te niezłomnego przywiązania i miłości prawdziwie synowskiej, jakiej ze strony wiernych doznawał ciągle Ojciec św., wzbudziły tylko gniew i zazdrość w Napoleonie, który koniecznie pragnął upokorzyć Następcę Chrystusa na ziemi i zrobić go swoim sługą, zaczem rozkazał Papieża przewieźć z Savony do *Fontainebleau*, zamku niezbyt odległego od Paryża.

Podczas gdy Ojciec św. jęczał w niewoli, całkiem odosobniony od swoich doradców i przyjaciół, cóż pozostało innego wiernym katolikom, jak naśladować przykład, dany im przez pierwszych chrześcijan z czasów, gdy

Piotr św. wtrącony był do więzienia, i modlić się o jego wybawienie? To też modlili się na tę intencję gorąco wszyscy katolicy, wzywając przedewszystkiem pomocy, którą nie na darmo nazywano zawsze *magnum in Ecclesia praesidium* (obroną Kościoła).

Jest powszechne mniemanie, iż Pius VII. ślubował wówczas Najśw. Pannie, że ustanowi na Jej cześć święto pod wezwaniem Panny Marji Wspomożenia, jeżeli będzie mógł wolno powrócić do Rzymu na Stolicę Apostolską.

Tymczasem szczęście, przywiązane do zwycięskiego rydwanu wielkiego Zdobywcy, uśmiechało mu się statecznie. Spiesząc od zwycięstwa do zwycięstwa, ujarzmił niebawem połowę Europy, a straszne jego imię brzmiało chwałą po wszystkich częściach świata. Ludom podbitym wydawał się niezwyciężonym; on sam o sobie żywił toż samo przekonanie, to też po kilku latach niesłychanego powodzenia i nigdy niebywałych tryumfów wojennych, pycha jego nie miała granic. Aliści jak tylu innych wielkich zdobywców przed nim, był on tylko narzędziem boskiej Opatrzności, która się nim posługiwała do swoich niezbadanych celów i wyroków. Gdy nadeszła „pełnia czasów," przyszła również chwila upokorzenia dla rozhukanego wojownika. On, który szydząc z klątwy, rzuconej nań przez Piusa VII, twierdził, iż ta nigdy nie wytrąci karabinów z rąk jego grenadjerów, gdy w r. 1812 poniósł swój oręż w zimne kraje Rosji, za zrządzeniem Opatrzności boskiej znalazł tam kres swoich nadużyć i jawnych gwałtów. Ramię sprawiedliwości Bożej wytrąciło broń z rąk dumnego mocarza i jego półmiljonowej armji. Najświętsza Marja Panna, do której ustawicznie zanoszono modły, ulitowała się nad uwięzionym zastępcą Chrystusa Pana i nad poniżeniem Kościoła, przyspieszyła uwolnienie Papieża z niewoli, Kościoła zaś podwyższenie, i w jednej chwili zmieniła losy Europy i całego świata.

Ciężka zima w Rosji, nieudolność wielu jenerałów francuskich i zdrada prawie wszystkich jego sprzymierzeńców, zniweczyły na zawsze dumne zaborcze zamysły Napoleona i zwaliły go z tronu. Całe jego ogromne państwo, owoc kilkuletnich podbojów i niesłychanego szczęścia wojennego, podziw dla spółczesnych i potomnych, zapadło się w jednej chwili tak, jak budowa z kart za podmuchem najlżejszego wiatru, grzebiąc w swoich gruzach i mocarza i jego dynastję.

Po upadku tyrana sprawiedliwość mogła bez przeszkód kreślić dalej swój bieg: różni przez niego tronu pozbawieni władcy wrócili napowrót do swoich krajów, zaczem także Ojca św. natychmiast wypuszczono na wolność. Rzymianie przyjęli z wielkim zapałem świątobliwego Starca, który wolny i niezależny, mógł ująć na nowo w swe ręce kierownictwo Kościoła. Wybawiony w iście cudowny sposób Papież Pius VII postanowił złożyć publiczne podziękowanie Tej, za której wstawieniem on sam, a z nim cały świat chrześcijański uznawał otrzymanie niespodziewanej wolności. W towarzystwie kilku kardynałów udał się do *Savony* i ukoronował tam cudowny obraz Matki Boskiej Miłosierdzia wśród zbiegowiska niezliczonego tłumu, w obecności króla sardyńskiego Wiktora Emanuela I i innych książąt. Powróciwszy do Rzymu, wypełnił drugą część danej obietnicy, *ustanawiając dla całego Kościoła osobne święto, mające o tym cudzie świadczyć przyszłym pokoleniom.*

Pomny, iż po wszystkie czasy Najświętszą Pannę nazywano **Wspomożeniem Wiernych**; opierając się na przykładzie *Piusa V*, który po zwycięstwie pod *Lepanto* polecił był dodać do litanji loretańskiej wezwanie: *Wspomożenie Wiernych, módl się za nami;* pragnąc dalej na cały Kościół rozpowszechnić, co był postanowił Papież *Inocenty XI*, gdy po pogromie Turków w roku 1683 pod *Wiedniem* ustanowił święto **Imienia Marji** i zatwierdził arcybractwo *Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych*, zawiązane w *Monachium*, *Pius VII*, by cudowne swe i kardynałów uwolnienie, jako też odzyskaną wolność Kościoła utrwalić w pamięci potomnych jako wiecznotrwały pomnik dla wszystkich ludów chrześcijańskich, ustanowił święto **Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych**, mające się obchodzić corocznie w dniu **24. maja**. Wybrano ten dzień, ponieważ po swem wypuszczeniu na wolność właśnie tego dnia 1814 roku, wśród okrzyków wiernych poddanych, wjechał tryumfalnie do Rzymu. Święto to po raz pierwszy obchodzone było z wielką uroczystością dnia 24. maja 1815 r., to jest właśnie w tym roku, w którym urodził się ks. Jan Bosko, wielki czciciel Najśw. Panny Wspomożycielki i krzewiciel nabożeństwa pod temże wezwaniem.



ŁASKI NAJŚW. MARJI PANNY WSPOMOŻENIA WIERNYCH

Podziękowanie Najsłodszemu Sercu Pana Jezusa i Matce Boskiej Wspomożenia Wiernych.

W uroczystość S. Józefa roku zeszłego ciężką nawiedził mnie Bóg chorobą, a jestem ojcem pięciorga drobnych jeszcze dzieci. Nieznośny ból głowy i lewego ucha tak mi dokuczał, że nie mogłem już wcale pracować i musiałem się udać do szpitala w Inowrocławiu. Tutaj poddać się musiałem dwukrotnie tak niebezpiecznej operacji, że nawet i sami lekarze o wyzdrowieniu mojem zwątpili, zwłaszcza że już i kość czaszki mojej przy lewem uchu wskutek powstałego w głowie mojej wrzodu psuć się zaczęła. Poddałem się więc woli Bożej, lecz nie straciłem ani na chwilę otuchy, że mnie Najsłodsze Serce P. Jezusa za przyczyną Wspomożycielki Wiernych i S. Antoniego, patrona mego, dla mej rodziny od śmierci zachować raczy. Na uproszenie sobie tej łaski posłałem też skromną moją ofiarę do Oświęcimia, prosząc WW. księży Salezjanów o odprawienie mszy św. i nowenny do M. Boskiej Wspomożenia Wiernych na moją intencję. W chwili największych boleści odebrałem wiadomość, że msza św. odprawi się i nowennę rozpocznie się na moją intencję 10. lipca. W ten sam dzień z wytężeniem wszystkich sił moich modliłem się razem z rodziną moją o ulgę w chorobie. I najsłodsze Serce Jezusa nie zawiodło mnie, bo od tego dnia nastąpiło znaczne polepszenie a po upływie 2 miesięcy wyzdrowiałem tak dalece, że dziś już bez przerwy pracuję na własne i rodziny mojej utrzymanie.

Z wdzięczności za tę łaskę rzeczywiście cudowną, niech będzie cześć i chwała Najśw. Sercu Jezusa i Matce Jego Najśw. Marji Pannie i S. Antoniemu, Ojcu ubogich i cierpiących.

Wierzchosławice (W. Ks. Poznańskie), 10. 2. 1907.

ANTONI LACH,
kierownik maszyn parowych.

Jako naoczny świadek choroby, poświadczam powyżej opisane wyzdrowienie p. Lacha.

X. STANISŁAW NOGA,
proboszcz w Parkaniu.

***

Składam publicznie najgorętsze podziękowanie Wspomożycielce Wiernych i Najsłodszemu Sercu Pana Jezusa za niezliczone łaski, jakich już nieraz doznałam, a szczególnie za złożenie matury przez syna mego. Z pokorną prośbą i ufnością udałam się wówczas do Wspomożycielki Wiernych, obiecując, że jeśli syn zda dobrze egzamin, podziękuję publicznie w Wiadomościach Salezjańskich. Otóż mimo wielkich trudności, zdał syn przepisany egzamin.

Wywiązując się przeto z przyrzeczenia, łącznie z podziękowaniem załączam ofiarę na Mszę św. dziękczynną.

Kamionka strumiłowa (Galicja).

ZOFIA POZNAŃSKA.

***

Prosiłem Serca Pana Jezusa i Matkę Boską Wspomożycielkę wiernych o pewną łaskę, której nie wymieniam, i ślubowałem ogłosić publicznie, jeżeli moja prośba będzie wysłuchana. Najświętsza Marja Panna udzieliła mi istotnie tej łaski i to w tym dniu, w którym o nią prosiłem, dlatego też publicznie składam Jej zato nieskończone dzięki.

Bobrowniki (Górny Śląsk).

F. J.

Marja Wspomożycielka Pocieszycielką utrapionych.

Przez rok blizko byłam w ciężkim smutku i zmartwieniu, chwilami nawet rozpacz mię brała. Modliłam się często o pociechę, ale Pan Bóg widocznie chciał, abym się do Najświętszej Marji Wspomożycielki udała; jakoż widząc, że moje utrapienie na większe się zanosi, z całą ufnością prosiłam Wiel. XX. Salezjanów o nowennę. i tego samego tygodnia Bóg i Najśw. Panna mię pocieszyć raczyli. Wszystko na dobre się obróciło, spokój wstąpił do serca mego i życie zupełnie innem mi się wydaje.

Dziękując zatem Panu Jezusowi i Najśw. Matuchnie za pociechę, posyłam 5 fr. na cele salezjańskie z prośbą o zdrowie dla całego domu.

Poznań, dnia 1. marca 1907.

WAL. LITKOWSKA.

***

Matka moja, osoba w podeszłym już wieku, zapadła ciężko na zapalenie płuc. Lekarze, stwierdziwszy istotny stan rzeczy, z powątpiewaniem kiwali głowami, ale za łaską Bożą i wstawieniem Matki Najświętszej wkrótce okazało się znaczne polepszenie. Nie na tem jednak koniec. Po jakimś czasie matka moja zaczęła się skarżyć na ból serca, a w parę dni potem w lewej nodze utworzył się skrzep i cała noga silnie nabrzękła. Ból straszny dokuczał chorej; zażądała przeto księdza i z zupełną przytomnością, oraz wzruszającą pobożnością przyjęła Sakramenta Swięte. Lekarze zupełnie już byli o jej życiu zwątpili.

Ale Matka Najświętsza uczyniła cud i od chwili przyjęcia Sakramentów Świętych zaznaczył się zwrot ku lepszemu. Lekarze z swej strony robili wszystko, co było w ich mocy i dzisiaj za łaską Bożą i przyczyną Matki Najświętszej matka moja ma się znacznie lepiej, za co niech Pannie Najśw. będzie chwała i dzięki na wieki!

Olchowice (Galicja), 6. 2. 1907.

Natalja Bilwinówna.

***

Czyniąc zadość uczynionej P. Bogu obietnicy, wyrażam sercem przepełnionem wdzięcznością najgorętsze publiczne dziękczynienie Najsłodszemu Sercu Jezusowemu, Matce Boskiej Nieustającej Pomocy i św. Antoniemu za uzdrowienie mojej matki z ciężkiej i bolesnej choroby. Po odprawieniu mszy św. a potem nowenny u WW. OO. Salezjanów w Oświęcimiu, nastąpił stanowczy zwrot ku lepszemu i obecnie z dniem każdym powraca upragnione zdrowie.

Cześć więc i chwała za to Królowej miłosierdzia, Wspomożycielce wiernych, która wysłuchała gorących próśb i pocieszyła strapione i strwożone serca.

Załączam również ofiarę na mszę św. dziękczynną.

Przemyśl (Galicja).

Marja Kuczyńska,
nauczycielka.



Dostojnicy, którzy wzięli udział w uroczystości inauguracyjnej nowego zakładu salezjańskiego w Bahii (Brazylja).

***

Przed rokiem zachorowała żona moja na katar żołądkowy i lekarze uznali chorobę jej za nieuleczalną. Wobec tego udałem się o pomoc do Serca Jezusowego i do Najśw. Marji Panny Wspomożycielki, prosząc gorąco o przywrócenie chorej zdrowia. Kazałem również odprawić Mszę świętą i nowennę według tejże samej intencji. Jakoż w krótkim czasie żona zaczęła przychodzić do zdrowia i dzisiaj czuje się zupełnie zdrową.

Składam więc wraz z żoną Boskiemu Sercu Jezusowemu i Matce Najświętszej Wspomożycielce należyte dziękczynienie, i przesyłam 10 marek ofiary dla wypełnienia uczynionego ślubu.

Janówiec (W. Ks. Poznańskie).

Jan i Marjanna Lisieccy.

***

Zeszłego roku w październiku skutkiem intryg i fałszywych doniesień przez mych nieprzyjaciół, wytoczono mi proces, który groził mi katastrofą utraty nawet posady. W tem więc niebezpieczeń-

stwie zwróciłem się z gorącą ufnością do Wspomożycielki wiernych i uciśnionych, błagając, by mię ratowała w tem nieszczęściu, i przyrzekłem Jej pomoc ogłosić publicznie. Ponieważ Matka Najświętsza raczyła mi pospieszyć z pomocą i sprawa moja zakończyła się dla mnie pomyślnie, dlatego też wywiązuję się z danego przyrzeczenia i składam Marji publiczne podziękowanie za tę, jako też za wszystkie dotychczas otrzymane łaski.

Łubno (Galicja).

A. KULIKOWSKI.

Marja Wspomożycielka wszędzie okazuje nam się dobrą Matką.

Z dalekiej krainy przysyłam list niniejszy z prośbą o łaskawe umieszczenie go w ,,Wiadomościach Salezjańskich,'' by wszyscy mogli się dowiedzieć, jak Matka Wspomożycielka ratuje Swe dzieci.

Otóż ja w grudniu roku zeszłego, pomimo choroby i kiepskiego wzroku, zostałem zabrany do wojska i zapędzono mnie aż na Kaukaz, pomiędzy góry niebotyczne i naród dziki. Dzięki jednakże zrządzeniu Opatrzności, lekarz pułkowy kazał mnie odstawić do komisji gubernialnej.

Komisja była złożona z lekarzy marnych, bo jak zwykle w Rosji, ludzie nieumiejętni zajmują tam najwybitniejsze stanowiska w urzędach. Z tej właśnie przyczyny nie miałem żadnej nadziei wydostania się z niewoli. Ale jak zawsze w potrzebie, tak i teraz uciekłem się do Matki Boskiej Wspomożenia w tem przeświadczeniu, że jako były wychowanek kolegjum salezjańskiego w Lombriasco, prędzej może zostanę wysłuchany.

Podczas dziewięciodniowej nowenny modliłem się gorąco do Marji Wspomożycielki o wybawienie mnie od wojska, i ta dobra matka wysłuchała mego błagania, bo chociaż wspomniana komisja uznała mnie za zdolnego do służby, a moje papiery i poświadczenia lekarskie gdzieś przepadły, wskutek czego odesłano mnie nazad do pułku, to jednak po 3 tygodniach papiery odnalezione zostały i ja jutro opuszczam szczyty Kaukazu, wracając przez Tyflis, Baku i południową Rosję do Warszawy. Nowennę moją dokończę spowiedzią i Komunją św. w Warszawie lub Częstochowie, bo tutaj prócz cerkwi prawosławnych i meczetów tatarskich, kościoła katolickiego nigdzie człowiek nie ujrzy.

Były wychowaniec kolegium lombriaskoskiego a później oświęcimskiego

Deliżan (Kaukaz), 20. 2. 07.

M. ZENDEROWSKI.

*
* *

Wiele już czasu upływa od chwili, w której udałam się z nieograniczoną ufnością do Matki Najświętszej i odmawiając nowennę, błagałam o pomyślne zakończenie ważnej sprawy familijnej, która była dla całej naszej rodziny nieomal wyrokiem. Sprawa ciągła się długo, ale zawsze Matka Najświętsza odwracała cudownie ciosy od nas, aż wreszcie ta Cudowna Pocieszycielka utrapionych, nie patrząc na niegodność naszą, wysłuchała próśb gorących i sprawa cała zakończyła się jak najpomyślniej mimo największych trudności, jakich zdawało się, że przezwyciężyć nie będzie można. Widzę w tem cudowne miłosierdzie i litość Królowej Nieba, i dziękując Jej z całą rodziną z całego serca, polecam się nadal Opiece tej Matki Najświętszej.

Rzeszów, 8. 2. 907.

M. M. z rodziną.

Cześć Marji Wspomożycielce!

Przed dwoma miesiącami zachorowałam na ostry katar krtani. Słabość ta przeciągała się bardzo długo, a że jestem nauczycielką, było to dla mnie nadzwyczaj przykrem, bo musiałam zaniechać moich obowiązków. Ponieważ zaś dotąd nigdy nie chorowałam, przymusowe siedzenie w domu i zaniedbanie obowiązków wprawiały mnie prawie w rozpacz. Ufna jednak w miłosierdzie i litość Matki Najświętszej, która mnie zawsze wysłuchuje, gdy się do Niej zwracam, zaczęłam odmawiać wraz z babcią nowennę do Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych, prosząc zarazem o modlitwę wychowanków Zakładu Salezjańskiego. — Matka Najświętsza okazała mi niebawem Swoje nieograniczone miłosierdzie. Chrypka zaczęła znacznie ustępować, a obecnie głos mój, chociaż jeszcze niezbyt silny, pozwala mi jednak wrócić do moich obowiązków. Za tę wielką łaskę, jaką mi cudowna Lekarka, choć niegodnej tego, wyświadczyła, dziękuję gorąco i pokornie, jak to przyrzekłam, polecając się nadal opiece tej Najsłodszej Matki.

Rzeszów, 8. 2. 907.

MARJA MORGENSTERN.

*
* *

Czyniąc zadość danej obietnicy, zasyłam gorące podziękowanie Najświętszemu Sercu Jezusa i Jego Matce Najśw. Wspomożycielce Wiernych za wyzdrowienie z ciężkiej choroby, jako też za wyzdrowienie moich dzieci. Prosząc Najśw. Serca Jezusa i Marji, aby nas i nadal mieli w swojej szczególnej opiece, posyłam skromną ofiarę na kościół w Oświęcimiu.

Żurawno (Galicja), w styczniu 1907.

MARJA KIPEROWA.

*
* *

W styczniu b. r. zachorował ciężko mój synek i to na zapalenie płuc a zarazem na katar kiszek.

Stan jego zdrowia był bardzo groźny, gorączka dochodziła do 40 stopni, i już zdawało się, że dziecko ulegnie tej chorobie, zwłaszcza że i lekarz wątpił o jego wyzdrowieniu. Wtedy rozpoczęliśmy nowennę do Najśw. Marji Panny Wspomożycielki Wiernych, z obietnicą ogłoszenia publicznego podziękowania w *Wiadomościach Salezjańskich* jeśli synek wyzdrowieje. Przy końcu nowenny nastąpiło u dziecka znaczne polepszenie, a dziś jest już zupełnie zdrowe.

Za wyświadczone mi dobrodziejstwo wyrażam Ci, o najlitościwsza Lekarko chorych, mą gorącą wdzięczność a zarazem posyłam 5 koron na cele Salezjańskie.

Żurawno (Galicja), w lutym 1907.

ELŻBIETA REGNEROWA.

***

Wdzięczność moja ku Marji Najśw. nie zatrze się nigdy w mem sercu, bo całe życie moje to nieprzerwany łańcuch łask i dobrodziejstw, któremi mnie ta Królowa przemożna obsypywała.

Biedny chłopczyna, bez wykształcenia, osaczony złemi towarzystwami, miałem przed sobą przyszłość smutną i chmurną, ale Marja wejrzała na mnie łaskawem okiem i wśród tysiącznych przygód i niebezpieczeństw zawiodła mnie do zakładu ks. Bosko. Czekała mnie droga z Litwy do Włoch! — Podróż po Rosji bez papierów, przekradanie się przez granicę bez paszportu, nieznajomość drogi i języka niemieckiego, pogoń urządzona za mną przez żandarmerję rosyjską — oto kłopoty, z których ratowała mnie Marja.

Pojechałem dalej, do Ameryki. Tu co krok spotykam się z łaską Wspomożycielki. Najwidoczniej doznałem jej opieki, gdy nad stolicą Ekwatoru, gdzie mieszkałem, rozciągnęła się czarna, gromonośna chmura. Dobrzy drżeli, a w mem sercu zawrzała straszna wal a o ideał, o cel życia. Bogu wiadomo, co się wtedy ze mną działo. Gdyby nie nowenna do Najśw. Wspomożycielki, gdyby nie światło Gwiazdy Morskiej, byłbym poniósł rozbicie, byłbym utonął z niesławą. Marja mnie uratowała, wsparła w walkach staczanych sam na sam z nieprzyjaciółmi duszy, dopomogła wyjechać z Quito. Odzyskałem spokój i z drugiej półkuli łączę się z czcicielami Wspomożycielki w ukochanym kraju.

Ekwator, 1. grudnia 1906 r.

Litwin.

***

Dziękują Najświętszej Marji Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za doznane łaski i przesyłają ofiary na Msze św. lub na cele salezjańskie, a mianowicie na zakład oświęcimski, także następujące osoby:

Ks. W.-K. proboszcz z P.; Monika Kortas z Kościerzyny (*Prusy Zachodnie*); Anna Sikora z Lachowic (*Galicja*); Franciszek Kutecki z Guajavira (*Brazylja*); Ks. Adolf Zamazal, Kazimierz Szuhart, Franciszek Woźny, Marja Kozakiewiczowa z Żurawna (*Galicja*); Franciszek Prekszl z Lubszy (*Galicja*); Jan Tomanek z Wilhelminyhuty (*Górny Śląsk*); Józefa Kwiecińska z Niska (*Galicja*); Paulina Wenda z Wybudowania kościerskiego (*Prusy Zachodnie*); J. Polaczek z Lipin (*Górny Śląsk*); Michał Ślusarenko z Niska (*Galicja*); Franciszek i Filomena Niezgoda z Karwiny (*Śląsk austrjacki*); Józef i Walerja Draga z Łabęd (*Górny Śląsk*); Ludwik Stolarczyk z Jaworzna (*Galicja*); Nepomucena Krawczak ze Śцieglic (*Brandenburgja*); Marja Sozańska z Jasienicy (*Galicja*); Agnieszka Fajfer z Bobrowników (*Górny Śląsk*), za odzyskanie zdrowia; Józef i Paulina Koszałka z Sierakowickich hub (*Prusy Zachodnie*), za polepszenie na zdrowiu z prośbą o zupełne wyzdrowienie; Józef Gawlyta z Opola (*Górny Śląsk*), za wyzdrowienie z ciężkiej choroby i szczęśliwe zagojenie się złamanej ręki swej córki; M. K. z Imielina (*Górny Śląsk*), za wyjednanie dla męża posady na kolei; Franciszka Sawicka z *Galicji*, za wyzdrowienie córeczki z ciężkiej choroby; Apolonja Łonicka z Frysztaku (*Galicja*), za cudowne wyleczenie męża z niebezpiecznej choroby gardła; Zacharjasz Dudyński, pensjonowany nauczyciel z Kamionki strumiłowej (*Galicja*), za ocalenie swego życia i wyzdrowienie z ciężkiego pokaleczenia; Józefina Koropecka z Doliny (*Galicja*), za wyzdrowienie syna i dobre zdanie przezeń egzaminu; Józef i Marta Klecha z Wielkiego Miszewa (*Prusy Zachodnie*), za wyzdrowienie z bardzo ciężkiej choroby; Feliks Wesołowski z Niekarmji (*Górny Śląsk*), za wyzdrowienie z reumatyzmu i przeprowadzenie w ściślejszych wyborach kandydata narodowego; Jan Bystryk z Majdanu kolbuszowskiego (*Galicja*), za cudowne prawie wyzdrowienie z ciężkiej niemocy; Szymon Kostrz z Wróblowic (*Galicja*), za wygranie procesu o granicę z sąsiadem i wyzdrowienie z boleści kurczowych; Zofja Piotrowiak z Kuczynki (*W. Ks. Poznańskie*), za wyzdrowienie z ciężkiej choroby nerwowej; Jędrzej Waradzyn ze Sromowiec niżnych (*Galicja*), za cudowne ocalenie siebie i dwu koni podczas załamania się na lodzie; Michał Szaj z Kobylników (*W. Ks. Poznańskie*), za wyleczenie nogi.



Kącik Pedagoga

Chybione wychowanie.

Balzac opowiada w jednej ze swoich powieści, że kiedy Polska przyszła na świat, na jej chrzest zeszły się wszystkie wróżki i składały jej swoje dary: waleczność, wdzięk, poświęcenie, żywy umysł, słowem wszystko, co może być najlepszego. Ale nakoniec przyszła zła wróżka i powiedziała: — Ja ci zostawię te wszystkie dary, żadnego nie tknę, tylko dodam do nich jeden, a ten sprawi, że tamte wszystkie nie zdadzą się na nic. Oto nie będziesz nigdy wiedziała, czego chcesz.

Nie możnaby lepiej, jak temi słowami, określić naszej wady narodowej: braku silnej, jasnej, nieugiętej woli, braku energji w dążeniu do wytkniętego celu, cierpliwości w wyborze i stosowaniu środków. Wszystkimi darami ciała i duszy hojnie nas wyposażyła natura: umysłem bystrym, rzutkim, zdolnym zorjentować się w każdej okoliczności, darem języków, jakiego nam wszystkie narody zazdroszczą, poczuciem piękna, polotem poetyckim. Jednej rzeczy nam tylko brak: silnej woli i energji, bez których inne dary należycie zużytkowane być nie mogą. Stąd też mimo naszych zdolności, ani w naukach ścisłych, przyrodniczych lub filozoficznych, ani w polityce do takich wyników nie doszliśmy, jak nasi przez naturę pod niejednym względem mniej wyposażeni sąsiedzi. Oto skutek daru złej wróżki: fatalna ,, *improductivité sclave.* ''

Nie lepiej rzecz się ma w religji: i tutaj pokazuje się na każdym kroku brak woli, energji, zasad. Przytoczę tu kilka zdań ogłoszonych w ,, *Dwutygodniku katechetycznym* '' przez pewnego światłego kapłana. Powszechnie głosi się, że społeczeństwo polskie jest stosunkowo bardzo wierzące. Gdy zastanowimy się dobrze nad tą wiarą w społeczeństwie naszem, przekonamy się, że jest ona zakrojona raczej na modłę zabobonnego uczucia, aniżeli wiarą przekonania, tą prawdziwą wiarą, jaką mieli święci, która jak miecz wnikała w myślenie i czyny. Ta polska uczuciowa tylko wiara ma swoje przyczyny w psychologji narodu naszego. P. Zyberkówna w broszurze: ,, *Jaka jest nasza wada narodowa główna* '' słusznie zwraca uwagę społeczeństwa na to, iż główną wadą Polaków i źródłem wszystkich innych wad jest ,, *bezzasadność,* '' brak zasad życiowych. Inteligencja nasza w życiu swem wcale się nie zastanawia na serjo nad kwestją religijną, nie chce sprawy brać poważnie i stawiać na ostrzu miecza, żeby nie musiała życia zasadami krępować, — stąd też najbanalniejszy zarzut skierowany przeciw religji, bardzo łatwo czyni ją obojętną dla wiary.

Nigdzie nie trafia się na taki rozdźwięk między uczuciem, wiarą i myślą a uczynkami, jak właśnie u nas. Każdy nasz chłop, robotnik potępia pijaństwo i uważa je za grzech śmiertelny: a przecież gdzież się widzi więcej pijaków, jak po naszych miastach i wioskach? Ogromnej większości naszej młodzieży ani na myśl nie przyjdzie wymawiać od grzechu wykroczeń przeciw szóstemu przykazaniu, a jednak z jakiem zepsuciem spotykamy się właśnie wśród naszych studentów uniwersyteckich i niestety także gimnazjalnych! Ankiety warszawskie wykazują, że na tamtejszym uniwersytecie co najmniej 113 studentów zarażona była chorobami wenerycznemi. Według sprawozdania *Bratniej pomocy* słuchaczy uniwersytetu w Krakowie, na 700 studentów znalazło się 20 % chorych. We Lwowie stosunki pod tym względem nie są bynajmniej lepsze.

Jakaż przyczyna tego tak strasznego braku woli, energji i zasad w życiu naszego społeczeństwa, a zwłaszcza naszej młodzieży? Ta, że w wychowaniu główną, a prawie wyłączną wagę kładziemy na wykształcenie umysłu, zaniedbując wyrobienia w naszych wychowankach silnej, na etycznych zasadach opartej woli. Puszczamy ich na wzburzone fale życia, jak okręt pięknie pomalowany, lecz bez masztu, bez żagli i sternika, — *ludibrium ventis;* pierwsze bałwany morza, burzą smaganego, unoszą go i rozbijają a skałę. Wszystko idzie na marne — a wina leży w chybionem wychowaniu.

Za pozwoleniem władzy duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: Józef Gambino.
Drukarnia salezjańska. (B. S.) — Turyn, 1907.
Wydawca i odpowiedzialny redaktor na Austro-Węgry: G. B. Monauni. (Trento-Austria).